№ 20. Warszawa, dnia 3 (15) Maja 1886 roku.



Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica Widok Nr 3.

Sonata Bethowena.

— Co pan myślisz o Bethowenie? — spytałem kiedyś jednego z moich znajomych, ponieważ lubiłem rozmawiać z nim o sztuce, która stanowi dla mnie przedmiot ciągłych studyów a oryginalny sąd mojego towarzysza rozmowy, był mi nieraz pożyteczną wskazówką.

— Co ja myślę o Bethowenie? — odrzekł rzucając na mnie niespokojne, podejrzliwe spojrzenie, ale do czego zmierzasz?

— Pytanie moje jest jasne, chcę poznać pański sąd o tym geniuszu nieśmiertelnym, którego charakter, pomimo tylu wygłoszonych opinii nie jest stanowczo określony.

Po długiem milczeniu, którego przyczyny nie umiałem sobie wytłomaczyć, dziwny ten człowiek rzekł do mnie.

— Chodź pan za mną.

Skoro stanąłem przy biórku, otworzył szufladkę, wyjął z niej zapisany papier i oddał mi go mówiąc:

— Przeczytaj ten rękopism jeżeli możesz, a skoro go odczytasz, zrozumiesz, dlaczego wahałem się odpowiedzieć na pytanie, które ci się wydawało tak prostem.

Manuskrypt jaki zabrałem do domu, zawierał we włoskim języku, następującą opowieść:

„A więc prawda, że jedziesz i wychodzisz za mąż! Rzucasz czarujący kraj, gdzie cię poznałem; zrywasz niewidzialny łańcuch, który pomimo spisku złośliwych, przykuwał nas wzajemnie, rozporządzisz sercem, którego pierwszą wonią ja oddychałem! Niech się przeznaczenie spełni. Oczekiwałem ciosu, który mnie dotknął, przeczuwałem oddawna smutne przebudzenie, jakie musiało nastąpić po śnie szczęśliwym. Pośród rzadkich zalet jakie posiadasz, pośród tej tkanki wdzięków i powabów, które otaczają cię jakby czarodziejską zasłoną, moje olśnione oczy umiały jednak odkryć niedostrzeżone słabostki twojej bogatej natury. Tak, czarujące dziecko na które Bóg zlał tyle darów, ty także nosisz świadectwo słabości natury kobiecej i nieszczęśliwych czasów, w których żyjemy. Nim cię pożegnam na zawsze, błagam, posłuchaj mnie trochę.

Sześć lat dobiega od chwili kiedy usłyszałem od ciebie wyznanie, które stanowiło odtąd urok i mękę mojego życia. Było to w piękny, jesienny wieczór, jeżeli pamiętasz to jeszcze, gdyż ja przypominam sobie najmniejsze drobiazgi, odnoszące się do tej uroczej chwili. Siedziałaś w salonie ciotki, zkąd okna wychodziły na park otaczający tę wspaniałą rezydencyą. Było to około ósmej wieczorem. Ciotka pani przechadzała się z resztą towarzystwa po ogrodzie, używając świeżego powietrza i prowadząc wesoło, lekką rozmowę o niczem, która jest jakby mimowolną wibracyą fantazyi. Zostaliśmy sami w pokoju, jak to często bywało, pani siedziałaś przy fortepianie, błądząc zwinnemi palcami po klawiaturze, tymczasem ja udawałem, że czytam, siedząc opodal.

Niknące słońce z krańców horyzontu przesyłało nam ostatnie łagodne, drżące promienie. Cienie nocne zstępowały powoli ze wzgórz sąsiednich, a jasny księżyc roztaczał swe bojaźliwe blaski po nad lasami. Salonik był pełen tajemniczej woni, którą przynosił leciutki powiew wieczorny. Nic nie przerywało wątku naszych samotnych rozmyślań, chyba niekiedy wesołe wybuchy śmiechu spacerujących gości. Ciemność, która coraz więcej zalegała wnętrze pokoi, nie pozwalała mi już dostrzedz pięknych, jasnych splotów, spadających jak snop kwiatów na łabędzią szyję, ani niebieskich oczów z odcieniem melancholicznym. Nagle palce pani, które dotąd przesuwały się jakby przypadkowo po uległych klawiszach, tłomacząc te nieujęte myśli, które nazywają marzeniem, zwróciły się na temat, którego nuty melancholiczne wywołały we mnie

jakiś dziwny dreszcz: była to sonata *cis mol* Bethowena.

Przy pierwszych taktach tego prześlicznego utworu, doznałem jakiegoś bolesnego dreszczu. Długie ponure tony dźwięczały w głębi mej duszy i budziły uśpione echa, przypominające moje smutne przeznaczenie. Kiedy temat prowadzony w basie, przechodzi do odpowiednich tonów *mi major*, promień księżyca przebiwszy lekkie chmurki, oświetlił uroczą pani postać, jakby illustrując tę piękną modulacyę geniuszu. Wzruszenie moje wzrastało z każdym taktem odgrywanego *andante*, które zdawało się być echem skarg zebranych na Golgocie przez anioła boleści. Łzy cisnęły mi się gwałtownie do oczów, gdym słuchał tych tonów rozdzierających, tego nagłego dysonansu, wyrażającego tak głęboką rozpacz: Bethowen zdradził tajemnicę mojego serca. O poeci, artyści, natchnieni łaską Bożą, wy jedni posiadacie dar czynienia cudów, wy jedni posiadacie naukę życia i opiewając cierpienia i radości waszej duszy, śpiewacie radość i smutek wszystkich. Pani tłomaczyłaś w tej chwili wzniosłą mową tonów to nieśmiertelne natchnienie, którego temat ginie pod haftem modulacyi i wraca na nowo nim zamrze w pierwotnych, smutnych swych głosach.

Gwałtowne allegro, w którem szał namiętności wybucha w patetycznych złorzeczeniach kończących się rozpaczliwym krzykiem, wybiegło z całą potęgą z pod palców pani. Zelektryzowany tem głębokiem wstrząśnieniem, rzuciłem się spiesznie ku oknu, aby ukryć moje wzruszenie. Po kilku minutach milczenia, kiedy usiłowałem pochwycić wątek moich myśli, powiedziałaś pani głosem zdradzającym tłumione wzruszenie:

— Co panu jest?

— Cierpię — odpowiedziałem — boleścią Bethowena, słuchając jak rozdartem jest serce jego. Biedny, wzniosły geniuszu, ile musiałeś wylać łez, podczas twego długiego konania, które trwało całe życie.

— Czy Bethowen był nieszczęśliwym? — zapytałaś.

— Czy możesz pani o tem wątpić? Czyż mógłby napisać tę sonatę i tyle innych zachwycających utworów, gdyby nie czerpał natchnienia w głębi swego serca? Czyż pani sądzisz, że sztuka jest próżną igraszką umysłu, zbytkiem wyobraźni, nabywaną albo odrzucaną do woli, kunsztowną budową złożoną z kłamstw, których recepty, książki i szkoły mogą nauczyć? Oh! to są wstrętne doktryny, głoszone, aby pochlebić tłumom zazdrosnym o każdą powagę, która im nakazuje szacunek. Chcą aby ciemne tłumy, których oklaski mają moc obdarzenia i władzą i rozgłosem, mogły także zanagurować panowanie geniuszu, lecz tu wola człowieka napotyka opór w nieprzeniknionej tajemnicy życia. Nie, nie, pani, nie dochodzi się nigdy do udania namiętności, której nie doświadczyliśmy, nie wzrusza się ludzi wyrażenieniem sztucznego uczucia, które nie zrodziło się w naszem sercu.

Sztuka w pełni swego blasku i rozmaitości formy jest przeobrażeniem rzeczywistości i przeczuciem przyszłych form życia. Gdyby nie obawa zjednania sobie u pani nazwy pedanta, przytoczyłbym mnóstwo wielkich imion, poetów i nieśmiertelnych myślicieli, którzy podtrzymywali wszędzie zasadę prawdy w sztuce i dowiedli, że niepodobna człowiekowi uwydatnić uczucia, którego sam nie doznał.

Czy pani wie co to jest retoryk? Jest to rzemieślnik słowa, który usiłuje zastąpić brak natchnienia zręczną kombinacyą wyrazów. Wszędzie, gdzie tylko mechanizm zastępuje proste działanie umysłu ludzkiego, można być pewnym, że jest jakieś zboczenie, poniżenie zdolności ludzkich.

Sofiści, retorycy i wszyscy ci, którzy kładą słowa zamiast myśli, puste formy i martwe podobieństwa, zamiast uczuć i życia, są tem w sferze intelektualnej, czem hipokryci w sferze moralnej; kłamią oni prawdzie, oszukują bliźniego, jak probują oszukać Stwórcę. Są to fałszerze monety, którzy kupują władzę i rozkosze ziemi za fałszywe tytuły, lecz ich panowanie jest nietrwałe. Bóg nie chciał aby człowiek obchodził się bez niego i powiedział wolności jak morzu: nie pójdziesz dalej, nie przekroczysz granicy przezemnie zakreślonej! Nie, wola i sztuczność nie mogą zastąpić nieobecnego natchnienia i napróżno człowiek probuje natężeniem myśli naśladować tajemniczy głos serca. Życie Bethowena a szczególniej historya sonaty, którą pani grała z takiem uczuciem, mogłyby lepiej dowieść prawdy tej zasady niż niejasne ogólniki.

— Czy pan nie byłby tak dobry powiedzieć mi w jaki sposób powstała ta sonata, którą nad wszystkie inne przekładam? Nie znam zupełnie szczegółów życia tego wielkiego muzyka, a pan wiesz, jak lubię słuchać, gdy mówisz o sztuce która stanowi powab mojego życia. Muszę przyznać, że nie rozumiałam wcale muzyki, nim szczęśliwy zbieg okoliczności, sprowadził pana w nasze strony. Moja ciotka, która ceni równie wysoko, pańską rozległą wiedzę, jak jego charakter, jest zachwyconą ilokrotnie rozmawiam z panem. Utrzymuje ona, że pana zapatrywania na sztukę i utwory mistrzów, zawierają zasady bardzo pożyteczne, mogące służyć zarówno w życiu praktycznem, jak ukształcić smak estetyczny.

— Zadaniem sztuki, podług mnie — odrzekłem — jest odtworzenie ideału jaki piastujemy w naszej duszy, a który pragnęlibyśmy urzeczywistnić na tej ziemi, gdyby nie stawały na przeszkodzie niekonsekwencye i słabostki natury ludzkiej. Czy pani chcesz żywego przykładu na stwierdzenie mojej teoryi? Otóż spojrzyj w koło siebie a zobaczysz, że ład i wykwintna elegancya wygląda z każdego zakątka tego pięknego mieszkania, wszystko tu zdradza wpływ kobiety ukształconej, która umiała rozlać wokoło siebie harmonią, jaka panuje w jej duszy. Smak hrabiny de Narbal opiekunki pani poznaje się w edukacyi świetnej i zarazem gruntownej, jaką pani dała i w użytku, jaki robi ze swego majątku. Dyskretna i miłosierna ręka, która się wsunie nieznacznie do mieszkania ubogiego, książki, ryciny, kosztowne przedmioty, zdobiące to mieszkanie, jak również muzyka, którą tu się słyszy, wykwintne towarzystwo, są to różnorodne objawy duchowego życia, szlachetnej istoty, której umysł i serce dążą harmonijnie do prawdziwego celu życia: urzeczywistnienia piękna. Ah! ileż bolesnych i zarazem uroczych wspomnień, wzbudza we mnie widok tego mieszkania, gdzie doznawałem tak łaskawego przyjęcia. Widzę, że gotów jestem zapomnieć o Bethowenie i sonacie *cis mol*, której chciałaś pani poznać historyę. Ponieważ jest jeszcze wcześnie a pani Narbal lubi przedłużać wieczorne przechadzki, pozostaje nam jeszcze więcej czasu, aniżeli potrzeba na opowieść, którą pani chcesz koniecznie usłyszeć. Czyż moglibyśmy użyć lepiej przyjaznych chwil tej pogodnej nocy, jak mówiąc o wzniosłej muzyce tego, który tak dobrze rozumiał harmonią natury!

(Dalszy ciąg nastąpi.)

MARZENIA.

Mroźny, iskrzysty gaśnie dzień zimowy;
Słońce czerwone za bory zapada;
Srebrzyste drzewa odblask purpurowy,
Zlekka okrywa; twarz księżyca blada,
Świeci nad lasem; sinych dymów słupy
Wiszą nad ziemią; wieśniacze chałupy,
Błyszczą ogniami. Mrok coraz gęstnieje,
Ziemię otula, na ciemnej zasłonie,
Złote i srebrne jasne blaski sieje...
Zasiał.. na niebie milion gwiazd już płonie,
Płonie, migoce i sypiąc iskrami,
Ziemię okrywa niby brylantami.

Ciemno w mej chacie; w piecu ogień błyska;
Z trzaskiem się pali smolista sośnina,
Snopami iskier naokoło tryska,
I już się zwolna dopalać poczyna.
Nad jasnym żarem sinawe płomyki,
Biegają czasem jak błędne ogniki.

Siedzę i marzę... Lubię te godziny,
Te długie, ciche, zimowe wieczory;
Wówczas przychodzą do mnie w odwiedziny,
Tęczowe mary, ciche rozhowory,
Brzmią słodko w ruchu; na skrzydłach marzenia.
Od łez uciekam smutku i cierpienia.

Wieczorne dumy! Cudowne obrazy!
Krótkiego szczęścia niepowrotne chwile,
O wyście dla mnie jak owe oazy,
Gdzie bije źródło, gdzie rosną daktyle,
Kędy wędrowiec podróżą znużony
Spocznie, napoju i jadła spragniony!

O wyście dla mnie jak ta czara wina,
Czara złocista, nędznym sokiem skrząca,
Kiedy ją poda wysmukła dziewczyna,
Z płomieniem w oku, zapłoniona, drżąca,
O wyście dla mnie jak owe nektary,
Które w Olimpie spijał Jowisz stary!

Was błogosławię! Lecz biada tym biada,
Którzy przemarzą i prześnią wiek cały;
Dla których wszystkiem będzie mara blada,
Obcym duch czasu i czyn męzki, śmiały,
Rozgoryczeni zejdą z tego świata,
Klątwa potomków będzie ich zapłata.

Takim być nie chcę; lecz po pracy dziennej,
Kiedy znużony zasiądę w mej chacie,
Lubię, gdy lekkie w odzieży promiennej,
Wy się przede mną marzenia zjawiacie,
Na swoich skrzydłach ciche i łagodne,
W cudne mnie kraje niesiecie pogodne.

Więc nie rzucajcie mnie kochane mary,
Lepiej mi z wami jakoś na tym świecie,
Wy mi niesiecie pożądane dary,
I znękanemu nadzieję dajecie,

Wśród cierpień życia wy gwiazdeczką złotą,
Świecicie jasno nawet nad helotą.

Tak, gdy na morzu rozszaleje burza,
I wściekła spiętrzy wielkie siwe fale
A okręt ginie i już się zanurza,
I o ratunku nikt nie myśli wcale,
Widok niejasny dalekich wybrzeży,
Wlewa w rozbitków zasób siły świeży.

Bolesław Markor.

UMARŁA.

PRZEZ

Oktawiusza Feuillet.

PRZEKŁAD

Joanny Belejowskiej.

CZĘŚĆ TRZECIA.

(Dalszy ciąg.)

30 Marca.

Wczoraj wieczór dobrze się zabawiłem... Ale zacznijmy od początku.

Powinienem był spodziewać się, że w następstwie tak wyraźnych zeznań mojej żony, prędzej czy później przyjdzie mi staczać walkę, nie o życie, ale o honor mój. Probowałem przekonać, że zgodnie z dowodzeniami żony mojej, mili przodkowie nasi z ubiegłego stulecia dobrze pojmowali życie tolerując sobie wzajemnie a nawet powierzając małżeńskie swe wykroczenia; lecz jakkolwiek wyzwoliłem się z wielu przesądów, nie zdolny jestem wznieść się aż do podobnego szczytu filozofii. Przyznaję, że logicznie biorąc, można usprawiedliwić teorye żony mojej o małżeństwie. Wychodząc zarówno z jej jak z mego stanowiska, jedyna i nieustająca miłość między dwoma temiż samemi osobami jest niezgodną z naturą niedorzecznością. Jedna tylko religia i wyższe duchowe wierzenia mogą uwiecznić wierność małżeńską, ponieważ uświęcają one w małżeństwie nietylko wzajemny, przemijający pociąg dwóch osób i dwóch umysłów, ale każe wierzyć, iż łączy z sobą dwie dusze nieśmiertelne. I to także jest prawdą, że między dwoma tak szczerymi materyalistami jak ja i moja żona, małżeństwo tracąc religijną swą podstawę, jest już tylko prostą umową społeczną, zdaje się rzeczą rozumną i naturalną, aby małżonkowie porozumieli się przyjaźnie pod względem korzystania z jego przywilejów a zrucenia z siebie ciężarów. Tak, podobne dowodzenie doskonale zgadza się z nauką, trzeba jednak wierzyć, że teorye naukowe nie dadzą się zastosować do wszelkich na świecie rzeczy, a szczególniej do odnoszących się do porządku moralnego...

Przyznaję, że przed parą tygodniami wmówiłem w siebie mocą dowodzeń logicznych, że teorye mojej żony są zupełnie uprawnione i że, zarówno jak ona, dam dowód wyższego pojęcia życia, zgadzając się na proponowaną przez nią umowę wzajemnej niezależności. Lecz gdy otwierałem już usta, aby oznajmić jej moje postanowienie, słowa uwięzły mi w gardle, ponieważ wbrew wszelkiej logice, uczułem, że zamierzałem dopuścić się haniebnej nikczemności. Widzę, że są przesądy których nie pozbędę się nigdy i że pod pewnemi względami zawsze zaliczać się będę do słabych umysłów.

Otóż wczoraj było u księżnej przedstawienie teatralne, składające się z żywych obrazów w których żona moja miała występować w kilku rolach. Posągowa jej piękność doskonale nadaje się do podobnych popisów. Obecnie nie towarzyszę jej już w świecie tak nieodłącznie jak dawniej, bywam z nią jednak dość często, tak dla przyzwoitości, jakoteż dla dowiedzenia się wszystkiego coby się do niej odnosić mogło. Od czasu zawiadomienia jakie udzielić mi raczyła, nie mogłem nie domyślić się, że nowa jakaś miłość zajechała jej głowę i z łatwem do zrozumienia zajęciem, starałem się poznać kto jest jej przedmiotem. Nie było to trudnem, gdyż lekceważąc mnie sobie, żona nie uznawała potrzeby zbytniego wystrzegania się w mojej obecności.

Pewien książę nadzwyczaj piękny, należący do składu jednej z wielkich ambasad, rezydujących w Paryżu, był od jakiegoś czasu bardzo zajęty hrabiną de Vandricourt i tak nie ukrywał się ze swojem uwielbieniem, iż ono dla nikogo nie było tajnem. Za zbyt często spotykali się w lasku, w teatrach, na balach, a nawet w domu moim i przy moim stole, aby mogło to nie zwrócić uwagi nietylko obcych, ale nawet męża. Jednak o ile mogę ufać mojej znajomości podobnych stosunków, żona moja nie przekroczyła dotąd granic wyzywającej zalotności.

Muszę przyznać, że nie lubię księcia. Odłożywszy na stronę wszelką zazdrość, jest w nim coś co mi się bardzo nie podoba. Jest-to wysoki brunet z błyszczącemi oczami i długiemi opuszczonemi wąsami, z których szczególniej zdaje się być dumnym i w wiekuistym uśmiechu swoim wyszczerza zęby jak baletnica. Wszystko w nim dowodzi najzupełniejszego zadowolenia z siebie.

Książę występował w wielu żywych obrazach, a okazała jego postawa i lśniąco białe zęby przy czarnych wąsach, ogólny zjednały mu poklask. Nareszcie ukazał się razem z moją żoną w grupie złożonej z dwóch osób, przedstawiających Judytę i Holofernesa. W chwili podniesienia zasłony, Judyta jedną ręką chwyta pałasz a drugą opiera się na łożu Holofernesa, pochylając się nad nim, aby przed wymierzeniem ciosu upewnić się, że jest w śnie pogrążonym. Niepodobna zaprzeczyć, że oboje prześliczni byli w tej postawie; żona moja trzymająca swą białą rękę na czarnej niedźwiedziej skórze, pokrywającej łoże i wlepiająca dzikie swoje oczy w twarz swej ofiary, książę z ustami rozchylonemi uśmiechem rozkosznego marzenia, z wielkiemi złotemi kolcami w uszach, z brodą zaplecioną w sposób assyryjski. Zażądano powtórzenia obrazu.

Byłem za kulisami gdzie pełniłem obowiązki reżysera. Nie mogę ręczyć czy tak było w istocie, ale patrząc z tego uprzywilejowanego miejsca, wyraźnie zdaje mi się dostrzegłem, że w chwili spuszczenia zasłony i tak już bardzo zbliżone twarze Judyty i Holofernesa, zbliżyły się jeszcze więcej.

W kilka minut potem, nadarzyła mi się sposobność oddania księciu małej przysługi, a mianowicie dopomódz mu do zdjęcia jego asyryjskiej maski, przytwierdzonej bardzo powikłanemi sznureczkami. Pochwyciwszy prędko nożyczki, od razu przeciąłem sznurki, ale nie wiem, przez roztargnienie czy też niezręczność, odciąłem jednocześnie jedną połowę długich jego wąsów. Przeprosiłem go natychmiast jak najuprzejmiej, ale tak pociesznie wyglądał ze swym jednym wąsem, iż jednocześnie głośnym parsknąłem śmiechem. Ma się rozumieć nie przyjął przeproszenia. Dziś rano pojedynkowaliśmy się w Meudon i szpadą przebiłem mu łopatkę. Przygoda ta bardzo ubawiła publiczność i zdaje się zmartwiła trochę moją żonę.

10 Kwietnia.

Nic nowego. Jednakowo rozkoszne pożycie, zaprawione wzajemną nieufnością. Żona moja rozmyśla o odwecie, z przerażającym spokojem. Podczas naszych sam na sam przy obiedzie orzuca mnie spojrzeniami bynajmniej nie wyrażającemi czułości; ale mało mnie to dziś obchodzi i dlatego, szczególniej w jej obecności, jestem zawsze spokojny i wesoły. I ja teraz, z kolei, nie kocham jej już wcale. Pedancki jej cynizm i wyrozumowana niemoralność, mają w sobie coś niewymownie wstrętnego co odziera ją w moich oczach ze wszelkiego uroku kobiecego. Nadto pewny jestem, że ją rozkiełznane namiętności i niezasycona ciekawość żadnego nie znające wędzidła, gotują mi tysiączne niespodzianki, od których szpada nie zawsze może zdoła mnie obronić. Obecnie zawiązała nader ścisłe stosunki z pewną cudzoziemką, nie cieszącą się bynajmniej dobrą sławą. Już to muszę przyznać, że szczególniejszy miałem pomysł, aby podobnej istocie powierzyć mój spokój, nazwisko i honor!

Valmontiers, 20 Kwietnia.

Chcąc odetchnąć nieco czystem świeżem powietrzem, pojechałem na kilka dni do Valmontiers, pod pozorem zarządzenia niezbędnych reperacyi.

Zgodnie z moim rozkazem, pokój Aliety był zamknięty i opieczętowany, od chwili wyniesienia z niego jej trumny. Dziś po raz pierwszy wszedłem do niego... zaleciała mnie jeszcze słaba woń ulubionych jej perfum... Biedna Alieto! czemuż nie mogłem jak tego pragnęłaś tak gorąco, anielska istoto, podzielać twoich wierzeń i wieść z tobą spokojne, poczciwe życie o jakiem marzyłaś!... Obok tego jakie dziś stało się moim udziałem, byłoby ono prawdziwym rajem.

Jakież to smutnej sceny pokój ten był widownią!... co za bolesne wspomnienie!... Widzę jeszcze ostatnie jej wlepione we mnie spojrzenie.. zdradzające jakby przerażenie... Jakże niespodziewanie umarła!... A owo osłupienie tego nieszczęsnego Tallevant!...

Pokój ten będzie odtąd moim pokojem, ale nie długo tu zabawię!... Chcę jechać na kilka dni do Varaville, aby zobaczyć moją córeczkę. Potrzebuję popatrzéć na jej ukochaną anielską twarzyczkę.

Valmontiers, 22 Kwietnia.

Jakże to wielka zmiana zaszła w świecie od czasu moich lat dziecinnych a nawet młodzieńczych! Jak niepojęta zmiana w pojęciach moralnych!... Wtedy wszyscy byliśmy jakby na wskroś przejęci myślą o Bogu, o Bogu sprawiedliwym, ale zarazem litościwym i kochającym nas jak ojciec kocha dzieci swoje... I żyliśmy pod jego okiem jak ojciec pod okiem ojca, z pewną obawą i uszanowaniem, ale zarazem z ufnością... Czuliśmy, że choć niewidomie, czuwa jednak nad nami bezprzestannie·

Przemawialiśmy do Niego i zdawało nam się, że nam odpowiada... Teraz czujemy się sami i opuszczeni w niezmierzoności wszechświata... Żyjemy w świecie bezlitośnym, dzikim, tchnącym nienawiścią, którego jedynem, okrutnem prawem jest walka o byt, a my jesteśmy tylko rozhukanemi żywiołami, ucierającemi się z sobą z dzikiem samolubstwem, bez litości, bez prawa apelacyi, bez nadziei ostatecznej sprawiedliwości... A po nad nami nic... lub gorzej niż nic, bo jakieś bóstwo obojętne, szyderskie, okrutne, zamiast dobrego i miłosiernego Boga naszych lat młodzieńczych!...

Valmontiers, 23 Kwietnia.

Pani de Courteheuse, matka Aliety, od pewnego już czasu była cierpiąca; zapóźno odebrałem zwróconą mi z Paryża depeszę o jej śmierci. Wyjeżdżam do Varaville, nie mogę pozostawić tam nadal mojej córki. Z całej jej rodziny pozostała tam już tylko staruszka jej babka, z dziecinniała prawie panna de Varaville. Joasia kończy lat dziesięć, nie mogę zostawić jej pod opieką służby. Postanowiłem więc zabrać ją z sobą i albo zatrzymać w domu i czuwać samemu nad jej wychowaniem i edukacyą, lub oddać na pensyę do któregoś z klasztorów w Paryżu. Zasięgnę pod tym względem rady biskupa de Courteheuse. Obecność tej ukochanej dzieciny, osłodzi mi wiele przykrości, doda sił do zniesienia wielu rzeczy...

Varaville, 27 Kwietnia.

Przez jedną chwilkę... jedną minutę... w owym pokoju w którym zamknąłem się z cieniem mojej biednej zmarłej, przyszła mi myśl straszna, okropna, ale odegnałem ją jako szalone urojenie... otóż szalone urojenie staje się straszną rzeczywistością.

Mamże to napisać?... O! tak, jest to powinnością moją!... ale od tej chwili dziennik ten rozpoczęty w tak wesołem usposobieniu, będzie moim testamentem. Nie chcę aby w razie śmierci mojej, tajemnica ta została zagrzebana wraz ze mną. Powinienem przekazać ją naturalnym opiekunom mojej córki... chodzi tu o jej dobro a może i o życie.

Oto co zaszło:

Zawiadomiony za późno, nie mogłem zdążyć na czas dla oddania pani de Courteheuse ostatniej posługi. Kiedym przyjechał rodzina już się rozjechała; zastałem tylko brata Aliety, Gerarda de Courteheuse, obecnie kapitana fregaty. Oznajmiłem mu co postanawiam względem córki mojej i przyznał mi słuszność. Zamierzałem zabrać Joasię wraz ze starą jej boną, Wiktoryą Genest, która najpierw matkę, a następnie ją wychowywała. Ale jest ona już w wieku i nie bardzo zdrowa, obawiałem się więc czy nie będzie stawiać mi pewnych trudności, tem więcej, że od czasu śmierci żony, w jej wychodzeniu ze mną przebijała jakaś niechęć, prawie nienawiść. To też jedynie przez pamięć Aliety znosiłem cierpliwie jej dąsy.

Podczas gdy Joasia biegała po ogrodzie, przywołałem Wiktoryę do pokoju.

— Moja Wiktoryo — rzekłem — dopokąd żyła pani de Courteheuse, uważałem sobie za powinność zostawić Joasię pod jej opieką, gdyż nikt nie mógłby czuwać staranniej nad jej edukacyą i wychowaniem. Obecnie obowiązek ten przechodzi na mnie. Zabiorę więc Joasię do Paryża i spodziewam się, że zechcesz jej towarzyszyć i pozostać przy niej.

Jak tylko zrozumiała o co chodzi, zbladła jak ściana i ręce jej drżéć zaczęły.

Wpatrzyła się we mnie śmiało szaremi swemi oczami, mówiąc:

— Pan hrabia tego nie zrobi.

— Mylisz się, kochana Genest, tak postanowiłem i tak zrobię... Umiem cenić twoją wierność i przywiązanie... byłbym ci wdzięcznym gdybyś pozostała przy mojej córce... ale w ostatnim razie chcę być panem w moim domu i panem mojej córki.

Położyła rękę na mojem ramieniu, mówiąc:

— Proszę, nie czyń pan tego!

— Czyś zwaryowała, Wiktoryo!

— O nie! panie, gdybym miała była stracić rozum, byłoby to dawno już nastąpiło...

Ani na chwilę nie spuszczała ze mnie swego surowego, natężonego wzroku, jak gdyby chciała zajrzéć niem do głębi mej duszy.

— Nigdy, nigdy nie mogłam w to uwierzyć — wyszeptała — uwierzę jednak jeźli pan zabierze ztąd Joasię!

— Ależ w cóż uwierzysz?... mówże, nieszczęsna! — krzyknąłem.

— Uwierzę — rzekła zniżając głos — że pan wie jakim sposobem umarła matka Joasi... i chcesz aby i ona *tak samo* zeszła ze świata!

— Aby *jak matka* zeszła ze świata? — powtórzyłem osłupiały.

— Tak... aby ta sama ręka śmierć jej zadała!

Zimny pot wystąpił mi na czoło, uczułem jakby owiewające mnie tchnienie śmierci... Jednak chciałem jeszcze odtrącić straszną prawdę.

— Zastanów się, Wiktoryo — rzekłem — rzeczywiście nie jesteś waryatką... ale gorzej jeszcze... ślepa twoja nienawiść do tej, która zajęła miejsce pierwszej mojej żony, podsunęła ci słowa ohydne, zbrodnicze...

— Dobrze więc, panie hrabio — zawołała z dziką energią — odważ się teraz zawieźć córkę swoją tej kobiecie, po tem com ci powiedziała!

Postąpiłem kilka kroków, aby zebrać myśli, poczem wracając do starej bony, rzekłem:

— Jakże mógłbym ci wierzyć!... Gdybyś miała najlżejszy dowód na poparcie tego co chcesz dać do zrozumienia, czyż tak długo osłaniałabyś to tajemnicą?... czyż mogłabyś dozwolić, abym zawarł tak wstrętne... ohydne małżeństwo?...

(Dokończenie nastąpi.)

RYCERZ MORA.

(Dalszy ciąg.)

Lisowski zamilkł, napił się wina, nalał go Borucie i rzekł:

— Owóż ten Mora osobliwie działał. I to już samo budzi w nas podejrzenie.

— Hm! — mruknął Boruta — nie stoi on tam o wasze podejrzenia. Ale jeżeli ty, mój Lisowski, chcesz wiedziéć, gwoli czego my tak czyniliśmy, to ci powiem.

— Ciekawym bardzo?

— Chcieliśmy sobie zaskarbić łaskę kasztelana. Nie mamy puszek, a jakże bez puszek wojować ze Szwedem? To tak, jakby się z kijem porywał na tego, który ma miecz u boku.

— I to prawda.

— Otóż ja dlatego przywiodłem do rodzicielskiego domu kasztelankę, by nam jej rodzic w zamian dał harmat.

— Aha! harmat chcecie?

— Tak.

— Czemu nie? byleśmy wiedzieli, komu damy.

— Rycerzowi Mora.

— Gadaj głupiemu, a nie mnie, panie bracie. Rycerz Mora! Takich w całej Polsce nie ma. Otóż ja tobie powiem, że nic nie będzie z harmat, jak nam nie nazwiesz owego rycerza jego właściwem imioniskiem.

— Nie będzie nic?

— Nie będzie.

— To pal was dyabli! — porwał się Boruta, i przypasując szablę, miał się ku wyjściu—Owa!— krzyczał — jacy mi wielcy dobrodzieje! My się bez was obejdziemy. Puszki sobie szablami na Szwedzie weźmiemy, a was niech kaduk porwie z waszemi harmatami i podejrzeniami. Stoję ja o was jak pies o piątą nogę. Podejrzenia, ceregiele, tere fere... niech was siarczyste biją pioruny!

I w wielkim gniewie nadział kołpak na głowę i szedł ku drzwiom. Ledwie go powstrzymał Lisowski i dalejże prosić, by się nie gniewał i rzucał. Uspokoił go przecież.

— Powoli, powoli — mówił — z waści widzę gorączka. Któż to tak robi sprawy na świecie? Wszystko można uczynić, jeno wolno i cicho.

Łagodząc tak Borutę, nie przestał jednak domagać się, by mu powiedział, kto jest Mora.

— Na nic się nie zda — odpowiadał dyabeł łęczycki — żebyć ty nie wiem jak tańcował koło mnie i skakał, ja tobie nie powiem.

— Ale czemu panie bracie? Czegóż wy się boicie? przecież tu zdrady żadnej być nie może.

— Co jest, to jest, a ja nie powiem. Napiszcie wy do Mory kartelusz, ja mu go oddam do własnych rąk. On jeden tylko może na wasze pytania odpowiedziéć, ja nie.

— Kartelusz? a jakżeby to wyglądało? Cóżmy w tym karteluszu napiszemy? Jak się waść zwiesz? a on nam odpowie, a wam co do tego?

— Ja wam też to samo gadam.

— No... my waszmości pytamy się ot tak, przy pogawędce, przy lampce wina, przez ciekawość jeno.

— Strzeż się panie bracie, ciekawość to pierwszy stopień do piekła...

Tak gadali jedno w kółko. Na ostatek Boruta, wspomniawszy sobie swoich, czekających nań w lesie, porwał się i zażądał w zamian za kasztelankę harmat. Długi był targ i wzdragania się, ale w końcu dali dwie harmatki z uprzężą i ludźmi, oraz furę z prowiantem.

— To wam się przyda — mówił kasztelan — a choć nie wiem pewnie tego, komu tem służę, niechże mu to jednak idzie na zdrowie. Człowieka, wóz i konie, odeszlecie mi tu do Dankowa.

— A! — spostrzegł się Boruta — tak być nie może i pod takim warunkiem prowiantu ja nie wezmę.

— A to czemu, panie tego?

— Jaśnie wielmożny panie... — pocznie Boruta — nie wiem dlaczego, ale to wiem na pewno, że imcipan Mora a mój hetman chce pozostać nieznanym nikomu. Jeżeli mu Bóg sprzyjać będzie, a czemużby nie miał sprzyjać dobrej sprawie, to

imię Mory zabrzmi wkrótce szeroko po całej Rzeczypospolitej od onego morza co je *mare Balticum* zowią, aż po porochy Dnieprowe! I może on wtedy powie co jest za zacz, bo teraz to i ja o tem nie wiem...

— Panie tego, dasz słowo szlacheckie, że nie wiesz?

— Hm! może i wiem, ale nie napewno, więc słowa dawać nie mogę. Jakkolwiek atoli jest, jam żołnierz i słuchać winienem ordynansu starszyzny. Nakazano mi nic nie mówić o hetmanie i strzedz, aby go nikt nie szpiegował i ja to czynić muszę, choćbym może nie chciał. Ale wiesz jaśnie wielmożny kasztelanie, w wojsku za nieshuch krygsrecht i łeb utną... No, a ja nie chcę jeszcze, by mi łeb ucinali... Owóż ja widzę, że z onym prowiantem i z oną odsyłką wozu, koni i człowieka jest jakaś zdrada, którą wymyślił imcipan Lisowski, prawdziwy lis szczwany...

— Aleś ty szczwańszy, panie bracie! — odparł Lisowski.

— To pewna, że się na plewy wziąć nie dam?

— Ale dałbyś się wziąć na ziarno?

— Na co się dam wziąć, to do waści nie należy. I gadać ja tu po próżnicy nie będę. Prowiant zabiorę, ale mój człowiek go powiezie i wóz i konie przy nas zostaną. Przydadzą nam się...

Kasztelan zrazu był markotny i nie chciał się na to zgodzić, a Lisowski gadał do Boruty:

— Co też ci do łba przychodzi, panie bracie, że onego naszego człowieka na przeszpiegi posyłamy?

— A tak jest.

— Przypatrzno mu się. Patrzyż on na szpiega?

Istotnie chłop, który stał podle wozu naładowanege mąką, kaszą, słoniną, porzniętemi baranami i kufą gorzałki, wyglądał na głupca. Stał, ziewał i drapał się po łbie kudłatym i w kołtun zwiniętym.

— Chłop to jest prosty od pługa i ty chcesz! żeby on szpiegował. Trzech zliczyć nie umie, śmiał się Lisowski. A przytem po cóż on ma widzieć tego waszego hetmana? Czyż to tak łatwo chłopu zobaczyć hetmana? A jeżeli my chcemy, by nam wóz i konie były zwrócone, to jedynie dla tego tylko że nie mamy ani wozów, ani koni za wiele. Po folwarkach Szwedzi nam wszystko wybrali i oszczędzać się z tem musimy na wszelki wypadek. Oto jest wierutna prawda, a ty tam panie bracie widzisz zaraz zdradę jakąś...

— Jak jest, to jest — zaciął się Boruta — prowiant ochotnie wezmę dziękując zań jaśnie wielmożnemu kasztelanowi, ale człeka nie chcę i koni i wozu nie odeślę. Nam też to jest bardzo potrzebne, bośmy się biednie wybrali, nie dlatego, byśmy nie mieli, ale żeby nam w naszych marszach nie ciężyło. My chcemy latać jako piorun i jako piorun spadać na nieprzygotowanego i niespodziewającego się nas nieprzyjaciela. Dla tego musimy być lekcy i swobodni. Ale widzimy teraz sami, że bez wozu się nie obejdziemy. Wóz ten nam się przyda. Jest lekki, kuty, krakowski. O taki wóz nie łacno w tych czasach. Należy nam się też trochę nagrody za uwolnienie kasztelanki. Jaśnie wielmożna kasztelanka więcej przecież warta jak dwie harmaty i wóz z końmi.

Tak to wszystko pięknie wykładał Boruta, a wyszczekany był, gładki i uśmiechał się jakoś po szatańsku i giął sobą i kłaniał się, że nie było z nim rady. Wyszli teraz wszyscy na ganek zamkowy i świeże, mroźne powietrze wypędziło mu z głowy czad winny, tak, że nie rzucał się już teraz, nie sierdził i nie krzyczał, jeno mówił cicho spokojnie i uśmiechał się ciągle. Kasztelan też już nic nie gadał, jeno widocznie zły, rzekł:

— Zabierz sobie, panie tego, i wóz i konie i bądź zdrów!

To rzekłszy, kiwnął głową i poszedł do zamku. W pół pacierza potem Boruta z harmatami i wozem, na którym usiadł jeden z jego hajduków, przywiązawszy swego konia z tyłu, wyjeżdżał z bramy zamku Dankowskiego. Lisowski go odprowadził aż do mostu zwodzonego i gadał mu:

— Źleś zrobił, panie bracie. Kasztelan jest pan możny, a nie jest to ani grzecznie, ani politycznie obrażać takiego magnata.

— Alboż ja jego obraziłem? Nie moja wina, że on nie rozumie co to jest wojsko i ordynanse starszyzny. A potem nie stoję ja o niego.

Był już za rowem i kłaniał się Lisowskiemu:

— Czołem!

— Czołem!

W miasteczku jazda podjadła sobie dobrze i konie też podpasła i wszyscy byli dobrej fantazyi. Na rozkaz swego wodza w mig dopadli koni i mieli już wyruszać, gdy do Boruty przecisnęła się jakaś mieszczka, nie młoda już, w jupce i chustce na głowie i oddała mu kartelusz opieczętowany lakiem i z herbem Habdank na pieczątce.

— A to co? — spytał Boruta.

— Od jaśnie panny kasztelanki — szepnęła baba, oglądając się dokoła trwożliwie.

— Do mnie!

— Ano tak... jej służebna przypadła tu do mnie przed dwoma może pacierzami... Marysia, może wielmożny pan ją zna? Marysia ślusarzówna a moja krewniaczka... Ja tu w rynku mam chałupę i mąką handluję.

— Ale do kogo to? — zapytał Boruta.

— Ano do wielmożnego pana. Mój jest młynarzem, ma dwa młyny na Liczwarcie a trzeci arenduje — gadała baba a język jej latał jak pytel. Podparła się pod boki i dalejże: Maryśka jest moja krewniaczka. Wpada przed dwoma pacierzami zadyszana, jakby kto ją gonił i gada: Moja ciotko, bom ja jej ciotka... Bo to widzi wielmożny pan, jej matka, stara Tomaszowa, i moja matka były sobie siostry cioteczne... Owóż wpada z jęzorem, z przeproszeniem wielmożnego pana, wywieszonym i gada: Moja ciotko oddajcie ten kartelusz panu hetmanowi tych żołdaków co tu stoją w rynku, jeno tak, żeby nikt nie widział. Ano, ja to zaraz spenetrowałam, bo choć to ja prosta kobieta...

Ale Boruta już nie słuchał. Wyczytawszy na liście, że jest do Mory, wyjął kilkanaście tynfów, dał je gadatliwej babie, i rzekł jeno:

— Dobrze!

Za chwilę nie było go z jazdą w Dankowie.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

NOWOŚCI TEATRALNE.

PRZEZ

T. J. Choińskiego.

Gomulicki. — Przybylski. — Gawalewicz. — Świętochowski. — Tomaszewicz. — Mellerowa i Galasiewicz, tak zw. dramaty francuzkie — reżyserya — wykonawcy — Lubowski.

(Dalszy ciąg.)

Z utworów dramatycznych większych rozmiarów, widzieliśmy na scenie warszawskiej w ubiegłym sezonie komedyę pięcioaktową pana Walerego Tomaszewicza, p. n. „Zapóźno”.

Pan Tomaszewicz, choć nie należy już do młodych wiekiem, wystąpił po raz pierwszy jako autor oryginalny. Nowicyusza też widać na każdym kroku w komedyi „Zapóźno”.

Jednolitość czynności jest przednią zasadą każdej, dobrze obmyślanej kompozycyi dramatycznej.

Odstąpienie od tej reguły nie wyszło na dobre nawet znakomitym autorom.

Nie zastanowił się nad tem p. Walery Tomaszewicz, gdyż w razie przeciwnym nie byłby wprowadził do swej komedyi dwóch równolegle obok siebie idących fabuł, z których każda wystarcza najzupełniej do zapełnienia ram utworu scenicznego szerszych rozmiarów.

Nic dziwnego, że akcya w komedyi p. Tomaszewicza nie może w takich warunkach posuwać się szybko a prawidłowo, naprzód, że nić jej rwie się po każdem spuszczeniu zasłony i musi być sztucznie nawiązywaną za każdem tejże podniesieniem.

Paulin Remba, zamożny kupiec korzenny z Krakowa, ożenił się z panną Elizą Berką, córką zbankrutowanej szlachcianki, chorującej na „panią”. Kramarz rujnuje się na stroje i zbytki swej małżonki, a jejmość przypomina sobie wtedy, że popełniła mezalians i ucieka z Romanem Jarskim, obywatelem ziemskim.

Dodawszy do takiego założenia jego naturalne skutki, możnaby z tej treści wykroić bardzo dobrze pełną komedyę.

P. Tomaszewiczowi było to jednak za mało. Przeto wydał za owego bałamuta Jarskiego Emilię, córkę Poberskiego, mieszczanina lwowskiego, i kazał panu być szubrawcem, a pani idealną żoną. Jarski, gdy nasycił się dostatecznie miłością wiarołomnej Rembowej, zgiął się w łęk, upokorzył się i wrócił na łono cieplutkiego ogniska rodzinnego.

Podwójna ta fabuła musiała, jak inaczej być nie mogło, rozbić architektonikę dramatyczną w komedyi p. Tomaszewicza. „Zapóźno” zawiera też rzeczywiście dwie ekspozycye: pierwszą w I akcie (dom Remby), drugą w III akcie (u Poberskich), i dwa zakończenia (dwie odsłony w V akcie.)

Rozszczepiona czynność wprowadziła także do komedyi niepotrzebny na scenie pierwiastek epiczny.

Monologi w formie powieściowej, łatające dziury w akcyi, wypełniają prawie połowę komedyi p. Tomaszewicza.

Autor, gubiąc ciągle nić przewodnią, musi widzowi opowiadać: co się stało i dlaczego się tak stało.

„Zapóźno” należy pod względem formy do utworów zupełnie chybionych.

A jednak posiada p. Tomaszewicz pewne uzdolnienie dramatyczne, przejawiające się w rysunku charakterów.

Udała mu się przedewszystkiem rodzina Poberskich: ojciec, matka i córka. Wprawdzie widzieliśmy takich radnych, jak ojciec Emilii i takie gniewające się matki jak pani radczyni już niejednokrotnie na scenie, bo typy to szablonowe, znane nietylko w Polsce, lecz trudno żądać, aby każdy autor nowe tworzył postacie.

Dość, gdy umiał stare odczuć, odświeżyć i odmalować prawdziwie.

Nowy pierwiastek wcielił p. Tomaszewicz tylko w Emilię w akcie III. Jest nim owe trzeźwe, chłodne wyrachowanie mieszczanki, liczącej bardzo uważnie i odmawiającej podpisu pod akt rejentalny, choć nazwiska jej żąda ukochany mąż. Kocham ciebie, mężusiu, ale nie gardzę i pieniążkami. Cóż stanie się ze mną, z dzieckiem, gdy ty, lekkomyślny szlachcicu wszystko roztrwonisz? Przeto gniewaj się, a ja nie dopuszczę się mimo to nierozumnego czynu.

Wybornie to pochwycony rys i przeprowadzony zręcznie w samej akcyi.

I pani Rembowa, egoistka, zimna, niekochająca nikogo, oprócz siebie, gardząca mężem mieszczaninem, szlachcianeczka, wytrzymuje krytykę, jeśli idzie o konsekwencyę charakteru. Jest ona sobą od początku do końca, nie wypada ani razu z roli, nakreślonej jej w założeniu.

Szkoda tylko, że to założenie nie odpowiada rzeczywistości, gdyż Rembowa umiała być osobą dystyngowaną, dobrze wychowaną, a takie panie nauczyły się w szkole życia, maskowania siebie i swych zamiarów. Wyrażają się one i poruszają „okrągło”, umieją ukłuć, ukąsić dotkliwie, nie podnosząc wcale głosu, choćby w sercu ich wrzało całe piekło nienawiści i nieszlachetnej złości. A pani Eliza z Berskich Rembowa w komedyi pana Tomaszewicza, odzywa się i wymyśla poprostu mężowi i matce, jak ordynaryjna kucharka lub gałganiarka. Zbytni realizm nie służy nigdy tworom sztuki. Artysta powinien łagodzić, retuszować pospolite życie, aby nie robiło wstrętnego wrażenia.

Wstrętnym jest także sam Remba, choć nie tak zamierzał prawdopodobnie sam autor. Wstrętnym jest, jako niedołęga, mazgaj, któremu brutalna żona pluje w twarz, którego łży bez najmniejszego protestu z jego strony. Marnie wygląda na scenie ten kramarz p. Tomaszewicza, tak marnie, że się widz nie dziwi wcale pogardzie, jaką jego żona czuje do niego.

Nie udał się w końcu p. Tomaszewiczowi charakter starszej pani Berskiej. Pusta, samolubna marnotrawnica w akcie I-ym, wyrasta w IV-ym i V-ym na jakąś poważną, szlachetną matronę, nieubłaganą westalkę, strzegącą czci niewieściej.

P. Tomaszewicz nazwał utwór swój komedyą. Nie takie jednak należy mu się miano. Jest to raczej dramat mieszczański z mocną przymieszką melodramatu, przepleciony oazami prawdziwej komiczności.

Niestały ten koloryt zaszkodził tak samo „komedyi”, jak podwójna fabuła. Widz nie odnosi jednolitego wrażenia. Nie wie on, czy ma się śmiać, czy też płakać, więc ani się weseli, ani rozrzewnia, tylko odwraca się od sceny z niesmakiem.

(Dokończenie nastąpi.)

Echa z dziedziny naukowej.

Eldorado pod biegunem północnym. — Meteory i aerolity. — Anomalie temperatur podziemnych. — Żelazo w starożytności. — Tunel pod rzeką Mersey. — Sparteina, nowy środek na cierpienia serca.

(Dokończenie.)

Pan Swank wydał w Filadelfii pod tytułem: *Dzieje fabrykacyi żelaza w ciągu wszystkich wieków* dowodzące że użycie żelaza sięga daleko odleglejszej starożytności niż to powszechnie mniemano. Zdaje się że najpierwej użytkowano z niego w Azyi zachodniej i w północnych okolicach Afryki, najbliżej sąsiadujących z Azyą. Pan Swank podaje że już w nader dawnych czasach, Egipcyanie znali wyrabianie i użytek żelaza. Herodot wspomina o używaniu narzędzi żelaznych przy budowie Piramid. Grobowce Teb i Memfis, tych miast tak starożytnych iż początek ich ginie w pomroce wieków, przedstawiają posługujących się narzędziami, które archeolodzy uznają za żelazne lub stalowe. W Tebach znaleziono różne przedmioty żelazne, znajdujące się dziś w zbiorach Towarzystwa historycznego w Nowym Yorku, prawdopodobnie tysiące już lat liczące. Tutmes 1 panujący jak się zdaje na siedmnaście wieków przez Chrystusem, jak tego dowodzi długi napis Karnaku, odbierał w hołdzie od wodzów, podległych mu królów i sprzymierzonych monarchów niższego Egiptu, podarunki srebrne i złote, sztaby kutego kruszcu oraz naczynia miedziane, bronzowe i żelazne. Belzoni znalazł sierp żelazny pod postumentem jednego ze sfinksów Karnaku, który, jak mniema, musiał tam być umieszczony na jakie 600 lat przed erą chrześciańską. W Muzeum Brytańskiem znajduje się kawałek żelaza, który w roku 1837 znaleziony został we wnętrzu wielkiej piramidy Gizeh. Deuteronomium w rozdziale IV werzet 20 daje do zrozumienia że za czasów Mojżesza, Egipcyanie zajmowali się wyrobem żelaza, a choć Żydzi nie obrabiali go dla swych władców, znali jednak sposób wyrabiania tego kruszcu; powiedziane tam jest: „Lecz was wziął Pan i wywiódł z pieca żelaznego egipskiego” i toż samo wyrażenie powtarza się w księgach Królewskich. Nadto p. Swank przypomina jeszcze iż znaleziono odłamek bardzo czystego żelaza pod obeliskiem który w roku 1880 przewieziono z Alexandryi do Nowego Yorku.

Świat przemysłowy angielski z wielką radością powitał ukończenie tunelu pod rzeką Mersey. W miejscu w którem tunel ten przechodzi pod Mersey, rzeka ta jest tak głęboką, że największe okręty swobodnie przepływać mogą; na 1770 metrów długości tunelu, 1200 przechodzi pod wodą. Schody opuszczające się na 80 stóp pod ziemię, doprowadzają do kolei żelaznej, przewożącej z jednego na drugi brzeg rzeki. Tunel ten, najpiękniejszy wytwór geniuszu ludzkiego, jest dłuższy od tunelu pod Tamizą, inżynierowie zapewniają że nic nie zagraża jego trwałości. Sklepienie zbudowane z cegły i cementu jest tak twarde jak skała. Budowa tunelu trwała lat pięć i kosztowała około 32 milionów; o ważności jego można powziąść wyobrażenie gdy powiemy iż corocznie mniej więcej 20,000,000 osób przechodzi z jednego na drugi brzeg Mersey, oraz 700,000 tonn towarów wyprawianych z Liwerpolu do Birkenhead. Postanowiono wyprawiać pociągi co kilka minut, i z pewnością ruch nie będzie mniejszy jak na metropolitalnej kolei Londynu. Dla ułatwienia zejścia do tunelu starym i słabym, urządzona jest winda w której za każdym razem sto osób pomieścić się może. Tunel ten wpłynie niezawodnie na obniżenie cen żywności i przewozu towarów. Obecnie już pewien kupiec który wysłał z Alexandryi cały statek naładowany zbożem, to jest blizko 3,000 mil, zapłacił od worka próbek tylko 6 pensów, kiedy dotąd transport z Liwerpolu do Birkenhead, wszystkiego 10 mil, transport wynosił 2 szelingi i 6 pensów.

Od dawna już dla osób dotkniętych cierpieniami serca, a szczególniej przyśpieszanem i nienormalnem jego biciem, digitalis stanowił najczynniejszy środek uspokajający, otóż obecnie pojawił się nowy regulator serca, a jest nim *siarczan sparteiny*. Wielu doktorów, po odbytych doświadczeniach, z wielkiem uznaniem wyrażają się o tym nowym środku leczniczym, a między innymi pp. Laborde i German Sée. Sparteina, odkryta w roku 1850 przez p. Stenhouse, jest to alkaloid znajdujący się w rodzaju janowcu, zwanym *Spartium scoparium*. Jest to płyn bardzo gorzki, nie rozpuszczalny w wodzie, ale łączący się ze wszystkiemi kwasami, a z kwasem siarczanem tworzy sól krystaliczną, doskonale rozpuszczającą się w wodzie. Otóż fizylogiczne działanie tej soli zostało wyprobowane najpierw *in anima vili*, a następnie na ludziach. Oto jak pan German Sée przedstawia rezultaty swych badań i doświadczeń, oraz wskazówki terapeutyczne jakie z nich wyprowadził.

Z moich doświadczeń i badań klinicznych wynikają trzy skutki charakterystyczne i stanowcze: pierwszym i najważniejszym jest podniesienie serca i pulsu; pod tym względem, siarczan sparteiny równa się digitalis lub też alkaleidowi konwalii, zwanemi *convallamarine*, tylko że działalność jej jest daleko wyraźniejsza, prędsza i trwalsza. Drugim skutkiem jest natychmiastowe uregulowanie zakłóconego rytmu serca i pod tym względem żaden środek lekarski nie da się z nim porównać. Trzecim skutkiem sparteiny jest przyśpieszenie uderzeń serca, ilekroć z powodu wielkiego osłabienia, bije za wolno i za słabo; w tym razie działalność jej zbliża się do działalności belladony. Wszystkie te objawy następują po upływie jednej lub co najwięcej kilku godzin, i po zaprzestaniu używania tego lekarstwa, trwają przez dni trzy lub cztery. Przez ten czas siły się wzmacniają i oddychanie staje się łatwiejszem. Tak więc, mówi pan Sée, siarczan sparteiny powinien być jeszcze przepisywany w radzie nieregularnej cyrkulacyi, oraz gdy puls jest nieregularny, przerywany, gdyż nader szybko doprowadza go do normalnego stanu.

WIADOMOŚCI

z pod naszej strzechy i z obczyzny.

Treść: Wieści z Galicyi. — Bajeczna zmora. — Głosy z Poznańskiego. — Bądźmy cierpliwi. — Szaleńcy wierzący w tryumf złości. — Prelekcya Stanisława

hr. Tarnowskiego. — Jej powód. — Ponowienie procesu p. Śnieżko-Zapolskiej. — Krzyżownicy p. Świętochowskiego. — Radość ich a przekleństwo czytelników. — Plony pracy pozytywistów warszawskich. — Składki na pogorzelców Stryja. — Wiedeński damski komitet. — Oburzenie Berlina. — Zajęcie się nami Prusaków. — Powody tego. — Wypadek z hypnotyzmem. — Odpowiedź na pytanie z czego się tworzy socyalizm. — Łupy wojenne w Stanach Zjednoczonych. — Nowa Joanna d'Arc.

Niepokojące wieści z sąsiedzkiej Galicyi przycichły, a nawet na szczęście, przesada w sprawozdaniach reporterskich uznaną powszechnie została. Pociecha to wielka, ale niech nas nie uspokoi usypiająco na kwestyą, która widać nie zamarła i sztucznie wydobyta i podsycana sprytem szatańskiej złości, niegodziwych, jeszcze staje się ową bajeczną zmorą, unoszącą się po nad polami mającemi być dotkniętemi zarazą.

Jest o niej wiele do pomówienia, gruby tom rozprawy zaledwieby rzecz do dna wyczerpał, ale w sercu ludzkiem czasem jedno słowo więcej zdziałać potrafi jak rozprawy całych parlamentów a nawet ciał naukowych, popartych rozumem całego świata. Tym więc jednym wyrazem radbym do serc wszystkich przemówić...

Przycichły także głosy rozpaczy płynące z Poznańskiego, ale nie z ułagodzenia dzikich rozporządzeń, tylko że walka wiekom wypowiedziana, w każdej chwili, godzinie i dobie jest niepokojącą, dokuczliwą, nuży, męczy, zniechęca, choć zbyt rażąco, nigdy nagle nie wyskakuje.

Bądźmy cierpliwi! Drogi różne do celu prowadzą, czasem sprzeczne myśli zamierzonej. Złość nie może panować: drąc się ciągle do szczytu, dziś już zdaje się, że dobiega zenitu swych pragnień... są wierzący, że to spełni, że należy przed nią uderzyć czołem, aby nie stać się kowadłem z dwóch stron bitym młotem. Szaleńcy! nie wiedzą, że chwilka jeszcze dziejowego życia, a to co tak wielkiem się być zdaje, pęknie jak bańka mydlana.

Z powodu rocznicy trzechsetletniej zgonu króla Stefana Batorego, pragnącego ukrócić rozbrykanych do szaleństwa magnatów zwanych później królewientami... których dla dobra wszystkich usuwa się ze społecznego związku, otóż dla uczczenia pamięci tego wielkiego króla, profesor uniwersytetu krakowskiego p. St. hr. Tarnowski, obdarzył Warszawę trzema odczytami o rozwoju literatury w krótkim przebiegu lat jego panowania. Były one rzeczywiście bardzo krótkie bo lat tylko 11 trwające, ale obraz literackiej w nich działalności świetnie przedstawiony, mimowoli obudził żal, że było w niej więcej ludzi nauki, jak dzierżących niecej prawu posłuch nakazujący.

Proces p. Świętochowskiego redaktora Prawdy z panią Śnieżko Zapolską, poszedł do apelacyi, sprawa więc ponownie będzie sądzoną, a nim to nastąpi strony powaśnione, a raczej gromada przeciwników a dawnych współpracowników Prawdy, co chwila wzrastająca i krzyżowany przez nich p. Św. tną się obosiecznemi mieczami niewiele zważając na warunki parlamentaryzmu.

I tu p. Św. przegrywa sprawę. Okrutnie ćwiczonego drą w pasy, szarpią, drapią, szydzą, drwią prawdziwie pozytywnie, oko za oko, ząb za ząb, bo ktoby tam zważał na starych głupców, krępujących świat cały jakiemiś przepisami ewangelicznej nauki. Tną się też bez miary i litości, armia przeciwników cieszy się, zaciera ręce z radości, przytupuje tanecznie, p. Św. odcina się... niebardzo skutecznie, a czytelnicy piekielnie się nudząc czytaniem nic a nic ich nieobchodzących dowodzeń, przeklinają w pień i waśniących się i pisma co do podtrzymania tych waśni dopomagają.

W tym jednak worku pozytywnej szermierki, głos prawdziwej *prawdy*, ale nie p. Św., wydobył się z przygłuszającej go wrzawy i dowiódł jak na dłoni, że kto jak p. Św., w dumaniach Pesymisty przed laty dziesięciu napisanych głosi światu, „że płaszczyk naszych jednożennych deklamacyi osłania zbyt wiele widocznych popędów poligamii, ażeby ich można było z pod niego nie dojrzéć. Jeżeli się na mnie zbyt oburzysz, cnotliwy mężu, utul gniew w objęciach, dymisyonowanej lub urzędującej kochanki, która twoje małżeńskie sumienie pieszczotami swemi nieraz usypia. Ty przed żoną kłamać musisz, ja przed czytelnikiem, nie potrzebuje".

Otóż, kto tak niegdyś pisał, kto takie głosił zasady przedtem nieznane nawet w potocznem naszem życiu a w literaturze nigdy przedtem niewymówione, to usłyszawszy je w innym szyku ustawione w książce drukowanej, powinien bardzo serdecznie ucieszyć się, że praca literacka p. Św. tak prędko plon wydała. Stało się jednak przeciwnie, osoba w nowelce p. Śnieżko-Zap. tak przemawiająca przez Św. została wytargana za uszy, a Autorka obrzucona najobrzydliwszemi oskarżeniami jej życia domowego dotyczącemi.

Otóż i owoce pozytywnej uprawy niwy społecznej. Jest to jednak jedno dopiero maluczkie zdziebełko z wielkiego trującego drzewa, wyrosłego z gorliwej pracy pozytywistów warszawskich, którzy wszystko burząc, burzyć się wreszcie zaczęli pomiędzy sobą i czubić z dobitnym akcentem różnych dodatków słownych wprost na siebie wymierzonych.

Słusznie też Kolce powiadają: Czteroletni Michaś, zaczyna już uczyć się kaligrafii i kreśli pierwsze wyrazy: małpa, dureń i inne. Czyż potrzeba dowodzić, iż malec ten zdradza niemałe zdolności dziennikarsko-polemiczne i... postępowe, dodamy ze swej strony.

Na pogorzelców Stryja z Anglii i Francyi nawet napływają liczne dary, a choć te dosięgły kwoty przeszło 150,000 guldenów wynoszącej, są tylko doraźną pomocą, ratującą od głodnej śmierci nieszczęśliwych.

Wiedeński damski komitet wydał ponowną odezwę, w której zawiadamia publiczność, iż składki zbierane dotąd wyłącznie na Stryj, będą nadal rozdzielane również i między pogorzelców Liska, przyczem wyraża nadzieję, iż decyzya ta nie będzie się w niczem sprzeciwiała intencyom składającej ofiary publiczności. *Neue fr. Presse*, zamieszczając odezwę powyższą, nie ma dosyć słów pochwały dla postanowienia komitetu i zachęca gorąco Wiedeńczyków do przyłożenia się do tego dzieła „prawdziwej humanitarności". Rada gminna miasta Graz uchwaliła na ostatniem posiedzeniu swojem zapomogę w sumie złr. 300 dla pogorzelców Stryja i Liska.

Lord major Londynu, ogłosił także składkę, którą dzienniki angielskie żywo popierają.

Czy z Niemiec a mianowicie z Pruss i Berlina przyjdzie choć krajcar na rzecz pogorzelców... można wątpić. Dzienniki bowiem z oburzeniem notują odezwę Gazety Polskiej przez wszystkie pisma polskie tak krajowe jak zagraniczne powtórzoną, aby lekarze polscy nie wysełali pacyentów swoich do wód pruskich.

Wprawdzie z Berlina donoszą: wszystkie tu u nas dzienniki, pisma literackie illustrowane, naukowe, zajmują się Polakami, literaturą, historyą, społeczeństwem polskiem, a fejletony zapełnione monografiami jak np. *Goethe und die Polen*, lub opisami Krakowa i t. p. Czy to objaw sympatyi, współczucia, reakcyi przeciw ustawom i planom polakożerczym? Nie, to tylko aktualność ciekawa, będąca w modzie, chętka przypatrzenia się temu, na co ostrzy się zęby, co ma się połknąć... z obawą czy w trawieniu śmiertelnych kurczów nie sprawi.

O hypnotyzmie i sile z niego płynącej, podaliśmy już sprawozdanie niemałego znaczenia, godne uwagi powszechnej. Z obawy aby lekkomyślnie przyjęte nie wywołało smutnych następstw, podajemy wiadomość zaczerpniętą z Kuryera Codziennego. Oto co w swych łamach mieści:

Dzięki Cumberlandowi amatorowie prestidigitatorzy od roku już zajmowali się wyłącznie odgadywaniem myśli, porzuciwszy dla tych zajęć, nawet hodowanie białych myszy i inne, jeżeli nie bardzo mądre, to przynajmniej nieszkodliwe produkcye.

Obecnie sprzykrzyło się to im widocznie, gdyż jeden z domorosłych amatorów magii, będąc w dniu wczorajszym na wieczorku u państwa M. przy ulicy Hożej, postanowił się zabawić w hypnotyzowanie.

Zebrani przyjęli śmiechem przedzierżgnięcie się amatora magii w zaimprowizowanego Donata, siostrzenica gospodarzy ofiarowało się służyć za medyum i wszyscy byli pewni, że się zabawią kosztem magnetyzera.

Tymczasem panna S. po upływie pary minut usnęła, co wszyscy zrazu przyjęli z niedowierzaniem wielkiem, z największem zaś sam magnetyzer.

— Jakto, to mi się udało, szeptał zdziwiony z początku, a przerażony następnie, nie mogąc panny S. obudzić.

Przerażenie udzieliło się i innym... Pobiegnięto po doktora.

Trzech godzin czasu jednak potrzeba było na przyprowadzenie do przytomności uśpionej, a po ocuceniu panna S. dostała gorączki, która do dziś jeszcze nie ustąpiła.

Fakt powyższy podajemy zarówno dla przestrogi, jak i dla powstrzymania warszawskich Donatów od ćwiczeń; które się mogą stać niebezpiecznemi.

O socyalizmie, zagraniczne pisma obecnie wiele mówią. Na zapytanie z czego powstaje i jakim wzmaga się sposobem, jedno z nich wychodzące na prowincyi odpowiada.

— Czy znacie pp. Waryngtona i Lewes?

— Nie, nie znamy.

— Są to panowie niezmiernie bogaci i nudzący się śmiertelnie, którzy dla chwilowej zabawki, postanowili rozegrać partyą bilardu konno.

Gdy rozeszła się w klubie wieść o tem genialnem połączeniu dwóch rodzajów sportu, powstało wielkie zamieszanie: jedni członkowie oświadczyli się za pomysłem, inni przeciw uważając go za niewykonalny. Porobiono tedy liczne zakłady, do których przyłączyli się z wysokiemi sumami i pp. Warrington i Lewes. Naznaczono dzień turnieju; zapaśnicy rozegrać mieli partyę karambolową, a nagroda dla zwycięzcy od zwyciężonego naznaczoną została na 10,000 dolarów, czyli jak dzisiaj 20,000 rs. Zielony plac bitwy, na którym rozstrzygnąć się miała walka na kule z kości słoniowej, umieszczony został w ujeżdżalni na wysokiej estradzie, jedynie dla osób konno dostępnej. Licznie zgromadzeni widzowie zajęli miejsce na trybunie, otaczającej bilard. Punktualnie o oznaczonej go-

dzinie zjawili się, przywitani hucznemi oklaskami, zapaśnicy, zaopatrzeni w niezwykle długie kije bilardowe, skrzyżowali je, średniowiecznych rycerzy zwyczajem i rozpoczęli partyę. Panowie w lewej ręce trzymali cugle koni, prawą zaś uderzali *à pistolet* w bile. P. Jan Warrington, przy pierwszym sztosie, krótkim galopem dojechał do bilardu i chybił. Przeciwnik w ostrożnym kłusie spróbował szczęścia i rzeczywiście zdołał zrobić 6 punktów. Trudno zaprzeczyć, że gracze objeżdżający konno stół bilardowy i zatrzymujący wierzchowców swoich we właściwych miejscach, wielce zajmujący przedstawiać musieli widok. Ilekroć rumak w decydującej chwili wyląkł się i skoczył w bok, zapanowała śród publiczności homeryczna wesołość. Po dwugodzinnych nareszcie zapasach, partya oznaczona na 100 punktów, roztrzygniętą została na korzyść p. Warrington. Świetny bankiet, w którym uczestniczyli wszyscy obecni na turnieju widzowie, zakończył tę dotąd jedyną w swoim rodzaju partyę bilardową.

Biedak jakiś skulony, skurczony, ołachmaniony, z chłodem i głodem dobrze widocznie zbratany, przypatrujący się zdala rozgrywającym między sobą partyą a później ucztującym, zapytał sąsiada drżącym głosem:

— Czy oni poszaleli?

— Nie, tylko nic im nie brakuje.

— Mój Boże! a mnie brak wszystkiego — odrzekł biedak i poszedł dalej.

Łupy wojenne z czasów wojny Stanów południowych z północnymi, przechowywane dotąd od roku 1865 w skarbcu w Waszyngtonie, na mocy teraz zapadłej uchwały kongresu, mają być właścicielom zwrócone. O łupach tych, składających się z szlachetnych metali i kamieni, przypomniano sobie dopiero przy okazyi zdawania urzędu skarbnika Związku, Wymana, swemu następcy, Jordanowi.

Korespondent angielski z Bulgaryi do londyńskiego Timesa w Londynie, donosi o młodej dziewczynie, która przebrana po męzku, odbyła całą kampanią, pod Śliwnicą i Pirotem otrzymała dwa medale za okazaną odwagę i przytomność nie zdradzając niczem swej osobistości. Jest-to dziewczyna należąca do ludu, skromna, pełna naiwności. Gdy po zawarciu pokoju wróciła do Widyna, zapytywana zkąd się w niej zbudził zapał wojenny; odpowiadała zawsze z największą prostotą.

— Śniło mi się po trzy razy, że była wojna, że bito się za Bulgaryą, ha! tak gdy nas bić zaczęto poszłam, aby się bronić.

Korespondent powiada, że jest-to na mniejszą skalę Joanna d'Arc, tylko bez korony męczeńskiej i aureoli.

Z dziedziny humorystycznej.

Otwarcie tegorocznej letniej przystani Towarzystwa Wioślarskiego, odbyło się z należną uroczystością, bo i przy modlitwie przez chór męzki wyśpiewanej i przy zatknięciu flagi wioślarskiej i okrzykach licznie zgromadzonych członków. Przeprowadzenie jednak dalsze zamierzonej ztąd wycieczki do lasku Bielańskiego, tak zostało zapewne mimowoli, humorystycznie przedstawione w „Kuryerze Porannym", że pobieżny jej przegląd być może, że uśmiech wesołości wywoła.

Otóż dnia 2 Maja, było pochmurno, wietrzno i chłodno: sądzono nawet, że zamierzona wyprawa nie przyjdzie do skutku, ale że według utartego terminu, *dzielni wioślarze* nigdy się nie cofają! więc rrru! na wodę i cała flotylla ukazała się na falach Wisły, żegnana przy dźwiękach marsza okrzykami tłumu ciekawych i wystrzałami z mozdzierzy. Niebo było posępne ale nastrój zgromadzonych wesoły, a że od przybytku głowa nie boli, więc niektórzy dalej do alembikówki! Jakoś dobrze się zrobiło, więc jeszcze po kapce... wtem coś zatrzeszczało, zaszumiało, kieliszek stracił nogę, owi niektórzy głowy i statek Warszawa dam najwięcej wiozący, utknął na mieliźnie.

Otóż i kłopot. Co tu robić?

Miny rzedną,
Twarze bledną,
Ten się nudzi,
Ów marudzi.

A że trunek,
Na frasunek,
Dobrze radzi,
Swej czeladzi,

Więc w kłopocie,
Piję do cię,
Po raz trzeci,
Bo czas leci.

Puknęły więc korki i zaraz myśl owym *niektórym* zraźniała, poznali że utknięcie na mieliźnie, to *czarna intryga* Bufetowego, wymyślona dla pozbycia się wiezionych zapasów. A więc w łeb *czarną intrygę*, szturm, waleczne opróżnianie talerzy z buterszનitów a flaszek z alembikówki, w czem dzielnie się sprawiwszy jak przystoi, według utartego terminu na *dzielnych wioślarzy*, wydobyci z uwięzi przez statek Konstanty wraz z całem towarzystwem nieszukającem naturalnie ratunku... we flaszce, stanęli szczęśliwie u celu wyprawy.

Widok na górze kilkunastu stołów, z przygotowaną ucztą, rozjaśnił oblicza wszystkim, bardzo słusznie! Owi *niektórzy* patrząc na flaszki, uśmiechają się... z powodzeniem. Prezes Rawicz wznosi zdrowie dam! oklaski także słuszne, choć damy nie są według utartego terminu *dzielnemi wioślarzami*. Następuje potem odczytanie telegramu od wioślarzy Płockich, niestety! bez dodatku *dzielnych!* przyjęcie Ojca Kameduły, choralne śpiewy, taneczna uciecha i odjazd jeszcze weselszy od przyjazdu, gdyż owi *niektórzy*, zwani, według utartego terminu *dzielnymi*, przejęci dzielnym animuszem, już zamienili się *w zawianych*, jak się wyraził sprawozdawca i spoczywali na dnie kajuty na prędce zmienionej... w ambulans...

Wycieczka rzeczywiście powiodła się, powinszować jej należy Towarzystwu wioślarskiemu a i życzyć ponowienia, byle... bez owych zawianych, według utartego... i t. d.

* * *

— Dlaczego tak wyciągnąłeś fizognomią?

— Ja czy co powiem, bo mnie ciągle naczągają na składkę na tego spalonego wujaszka?

— Chcesz powiedzieć chyba Stryja?

— To wszystko jedno, przecież i to jest rodzyna.

Kolce.

* * *

Adwokat broni swego klijenta tak nudnie, że jeden z sędziów usypia i zaczyna chrapać.

Adwokat milknie.

— Dlaczego pan nie mówi dalej? — pyta prezydujący.

— Radbym, aby mnie i sędzia X. słyszał...

— Że słuchał pana dotąd i to bardzo uważnie, to najlepszy dowód stan w jakim się obecnie znajduje.

* * *

Pani Iks jest bardzo romansowa, mówi prędko a zawsze z uniesieniem, westchnieniem i ócz przewracaniem. Pan Ypsylon zaś, mówi wolno, z przestankami, ale jednostajnym głosem, bez zniżania go lub podnoszenia.

— Oh! — mówi pani Iks — zdrada męża zabiłaby mnie!

— Być może — po chwili odpowiada pan Ypsylon.

— Jakto, być może? — zapytuje zaraz pani Iks i nie czekając na odpowiedź dodaje: — gdyby żona pańska naprzykład uciekła z innym, czyż śmiercią byś tego nie przypłacił?

— Być może! — odpowiada znowu pan Ypsylon i uśmiecha się oblizując starannie.

— Ta wątpliwość dziwi mnie...

— Jest jednak naturalną, bo wielka radość niezawsze zabija.

PRZYJACIEŁA DZIECI

numer 20 wyszedł z druku i zawiera:

Dawne wspomnienie. — Grymaśnica (komedyjka). — Chłopiec maziarza. — Uroczystość majowa (drzeworyt). — Z wycieczki do Abissynii (z drzeworytem). — Kapitan Ferragus. — Z nauki. Dodatek: Z pamiętników wędrowca (z drzeworytem). — Indyk (wiersz). — Na wakacyach. — Ojciec i Misia (wiersz). — Dwa koziołki. — Dobry Józio (wiersz). — Zdania moralne. — Odpowiedzi. Zadania i łamigłówki.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

Дозволено Цензурою. Варшава, 1 Мая 1886 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk **E. Skiwskiego.** Warszawa, Chmielna Nr 1530 (nowy 26).

Opis do N-ru 20.

N. 1—2. Ubrania spacerowe.

N. 1. Ubranie z draperyą fałdowaną.

Ryc. 1 przedstawia kostyum spacerowy, odrobiony z gładkiej, oliwkowej faille, i z materyi w pasy oliwkowe aksamitne i jedwabne w kratkę czerwoną i żółtą. Część widoczna spódnicy ułożonej w szerokie kontrafałdy, pokryta jest materyą gładką, pomiędzy którą z przodu i z boków wstawione są bryty z materyału w pasy. Suto zfałdowana draperya przednia, składa się z dwóch, jedna na drugą zachodzących części fartuszkowych, a z tyłu z dwóch prostych, suto podpiętych brytów. Pomiędzy przody i plecy stanika bawetowego, zapinanego na kryte haftki, wstawione są części z materyału w pasy, z którego dane także wązkie mankiety przy rękawach. Draperyę zdobią, w sposób na ryc. 1 wskazany, agrafy z pasmanteryi.

N. 2. Ubranie spacerowe z długim paletotem.

Jak w roku przeszłym tak i w bieżącym, przody paletotów zdobią szerokie, szalowe ranwersy, stopniowo zwężone, do wcięcia w pasie dochodzące. Przy prawej połowie przodu, na wcięciu w pasie, dodaje się w krajaniu patkę zaokrągloną, z obrobioną w niej dziurką, zapinaną na guzik przyszyty do lewego przodu. Poniżej patki ku dołowi, paletot zapina się na kryte haftki. Przy krajaniu pleców można dodać odrazu na środkowe fałdy, na wcięciu stanu, albo bryt oddzielny zmarszczony w górze, od spodu podszyć. Model paletota odrobiony był z ciemno bronzowego dyagonalu.

N. 3—4. Czepeczki negliżowe.

N. 3. Czepeczek gazowy.

Do czółka ze sztywnego tiulu 32 cent. długiego, w środku 5 cent. szerokiego, a w końcach spiczasto zwężonego, wszywa się denko z przodu w parę małych fałdek zaszyte. Fasonik ten oszywa się w koło koronką ułożoną w kontrafałdy, a zwierzchu pokrywa kawałkiem gazy białej, 77 cent. długim a 18 cent. szerokim, oszytym gładko koronką, 6 cent. szeroką, któren z przodu ściśle przyfałdowany z boków jest gładko spuszczony, na koronkę przy czółku. Kokardy ze wstążki kremowej, atłasowej, 2 1/2 cent. szerokiej.

N. 4. Czepeczek z kokardą alzacką.

Fasonik stanowi czółko w środku 5 1/2 cent. szerokie, w końcach zwężone, do którego wszywa się denko ze sztywnego tiulu. Na tem zacząwszy od góry naszywa się z jednej strony dwa rzędy zachodzącej jedna na drugą koronki, 13 cent. szerokiej, z tyłu w podwójną kontrafałdę złożonej; z drugiej strony naszywa się koronkę wachlarzowo na główce aż do środka przodu, a z końca daje się węzeł na alzackiej kokardzie upiętej ze wstążki 8 1/2 cent. szerokiej, jasno-niebieskiej, serżowej.

N. 5. Żabot krepowy.

Odpowiednio długi i szeroki kawałek krepy bladomalwowego koloru, u dołu złożony był na nagłówek 8 cent. szeroki i ściśle zmarszczony, a w górze zmarszczony i wszyty w złożony w fałdy pasek kołnierzowy, z tyłu na haftki zapięty. Kokardy ze wstążki atłasowej z ząbkami, 5 cent. szerokiej, tego co krepa koloru.

N. 6. Żabot gazowy.

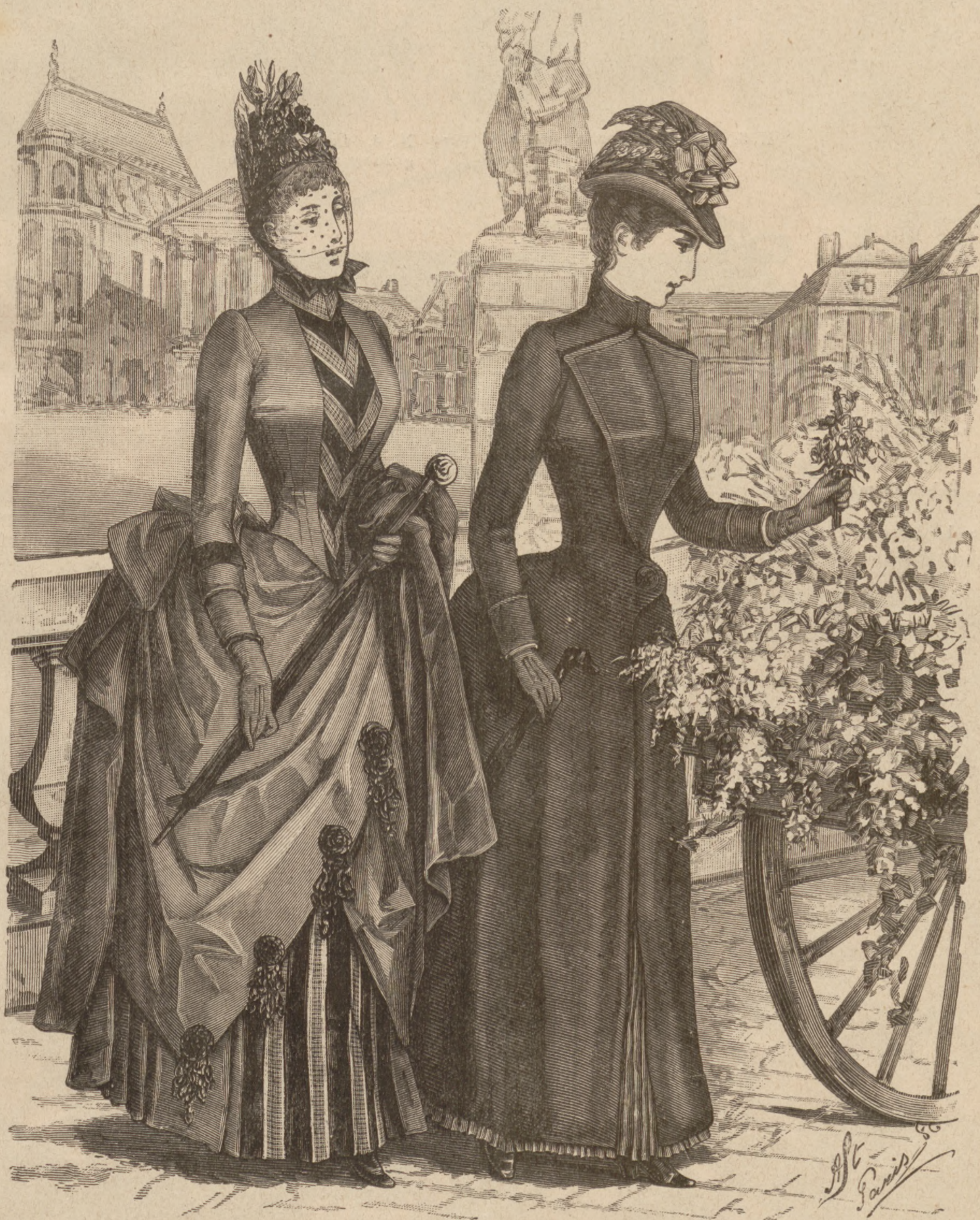
Model żabota odrobiony był z blado-bronzowej, jedwabnej gazy, haftowanej bardzo cienką białą bawełną i z koronki 13 cent. szerokiej, takiego jak gaza koloru. Na 5 cent. wysoki, w poprzeczne fałdy złożony kołnierzyk, spada 60 cent. długi kawałek koronki, w 5 szerokich, plisowanych fałd złożony, z każdej strony niedochodzący na 4 cent. do brzegów kołnierzyka; poprzeczne brzegi koronki, powinny być szlaczkiem zakończone. Chusteczkowe końce żabotu z brzegów przednich oszyte przymarszczoną, do dołu spadającą koronką, zrobione są z dwóch przedłużonych trójkątów, których brzegi proste do 9 cent. sfałdowane, wszyte są w kołnierzyk.

N. 7. Poduszka do kanapy, ozdobiona aplikacyą z pluszu.

Model poduszki mającej 47 cent. długości a 24 szerokości, odrobiony był z materyi oliwkowej w drobny deseń, a aplikacya gałązki kwiatów i paska skośnego 6 cent. szerokiego, dana była z jasno-miedzianego, jedwabnego pluszu. Listki z brzegów paska wyszyte były złotym bajorkiem i perełkami, a kontury kwiatów i listków obwiedzione różnokolorowym sznureczkiem jedwabnym i szenelą, i naszyte drobnemi woskowemi perełkami. Brzeg dolny zdobi frendzla kuleczkowa 5 cent. szeroka, a inne brzegi oszyte są grubym sznurem jedwabnym, okręconym szenelą; do zawieszenia i przenoszenia poduszki, służy także sznur zakończony kwastami.

N. 8—11 i ryc. 35, 39 i 40 w N. 21. Stoliczek ozdobiony haftem gipiurowym. Desenie na dodatku z krojami do N. 18 i 19, Fig. 87—88.

Ryc. 8 przedstawia stoliczek obity pluszem ciemno-karmazynowym, i ozdobiony haftem gipiurowym, do którego na ryc. 11 dajemy część szlaku w naturalnej wielkości, ze



N. 1—2. Ubrania spacerowe.

N. 1. Ubranie z fałdowaną draperyą. N. 2. Ubranie z długim paletotem.

wskazaniem rodzajów ściegów, a na ryc. 9 deseń koronki lambrekinowej. Na tło do haftu służyło płótno żółtawe; kontury obwodzi się nitką złotą rzadko przydzierganą jedwabiem kremowym, którym odrabia się także ściegi zdobiące i zapełniające tło figur. Dwie powiększone próbki ściegów dajemy na ryc. 39 i 40 w N. 21, a dalszą część skośnie ściętego szlaku na fig. 87, na której złączenie oznaczone gwiazdką i dwukropkiem. Ażeby wzór szlaku mógł służyć do innych przedmiotów dajemy do niego narożnik na fig. 88 a na ryc. 10 zmniejszoną próbkę szlaku z przyłączonym narożnikiem. Koronkę robioną do stoliczka na gładkiem płótnie, do serwet, ręczników można robić na płótnie w owiesek; próbkę ściegu do zapełniania tła na owieskowym materyale dajemy na ryc. 26 w N. 21. Oprócz jedwabiu do wyszycia tła figur służy także dzielona filozela koloru miedzianego i pawiego; kontury figur koronki, robione są ściegiem sznureczkowym.

N. 12—14. Fartuszek z napierśnikiem, ozdobiony wstawką i koronką wywodzoną na tiulu.

Prosty kawałek białego płótna albo perkalu, przemarszcza się na fartuszek do 8 cent. długości a do 10 szerokości u dołu dopełnia fartuszek wstawka tiulowa 8 cent. szeroka, przedzielona 7 cent. szerokim paskiem materyału, od koronki 17 cent. szerokiej. W górze przyszywa się do fartuszka przemarszczany napierśnik, 22 cent. szeroki, oszyty koronką 10 cent. szeroką. Desenie do wyszycia na wstawce i koronce na tiulu mocnym w duże dziurki, grubą bawełną, dajemy na ryc. 13 i 14. Pasek i kokarda ze wstążki atłasowej 4 1/2 cent szerokiej.

N. 15, 25 i 30. Mantyla z kapturkiem.

Mantyla przedstawiona z przodu i z tyłu na ryc. 15 i 30, odrobiona była z czarnego wełnianego materyału w drobny deseń i z czarnej surah; garnirunek stanowiła koronka 9 i 21 cent. szeroka, guziki szmuklerskie i wisiadła dżetowe. Formę mantyli łatwo dopasować można podług małego modelu i miar danych na ryc. 25. Przód *a*, zeszywa się od krzyżyka do punktu z trochę przymarszczonym rękawem *b*, przykrojonym razem z plecami; ranwers odznaczony linijką na przodzie, robi się oddzielnie. Kapturek *c*, trzeba z materyi przykroić i aż do linii załamania materyą podszyć, a część środkową pokryć wełnianym materyałem. Fałdy oznaczone krzyżykami i punktami, składają się przed zeszyciem szwa dolnego od gwiazdki do dwukropka. Górny brzeg kapturka przyfałdowany podług objętości szyi wszywa się razem z mantylką w pasek kołnierzowy 5 cent. szeroki.

N. 18. Kapelusz okrągły z prostem rondkiem.

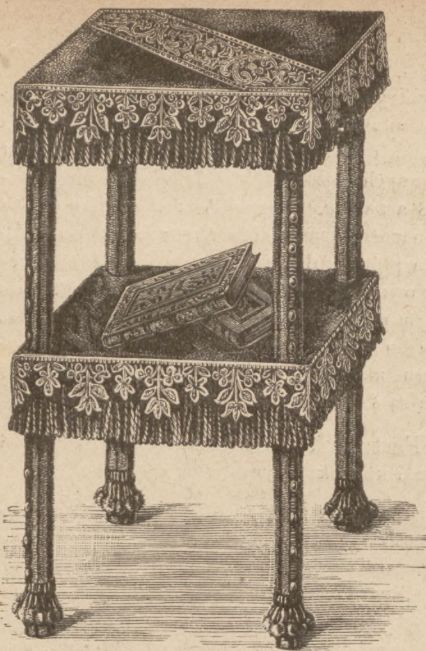
Jasno-czekoladowy słomkowy kapelusz, ma rondko podszyte ciemniejszym aksamitem, którego kawałek skośny 9 1/2 cent. szeroki, zakończony wypustkami, otacza główkę. Na środku główki z tyłu, przypięty pęk piór czekoladowych do cieniu i kilka kokard ze wstążki *serge* 6 cent. szerokiej.

N. 19. Kapelusz słomkowy z wysoką główką.

Rondko w górę odwinięte podszyte jest aksamitem bronzowym (*loutre*) którego skos 35 cent. szeroki, przemarszczony i w drobne fałdki ułożony, upięty jest złotemi szpilkami, na główce 14 cent. wysokiej; duża złocona klamra i żółte strusie pióra zdobią kapelusz.

N. 20. Szlak robiony ściegiem gobelinowym i pojedyńczym na dwie strony.

Szlak do rolet, serwet, fartuszków i t. p. robić można na płótnie kanwowem albo zwyczajnem domowej roboty, bawełną w dwóch kolorach albo dwóch cieniach, albo bawełną białą. Stosownie do obranego celu, haft może być na jedną stronę, lub ściegami jednakowemi na dwie strony. W hafcie gobelinowym ściegi zmniejszają się lub przedłużają stopniowo o jedną nitkę, a ściegi pojedyńcze zajmują 4 nitki w kwadrat.



N. 8. Stoliczek ozdobiony haftem gipiurowym. Zobaczyć ryc. 9—11 i ryc. 35, 39 i 40 w N. 21. Dalszy ciąg deseniu na dodatku z krojami do N. 18 i 19, fig. 87—88.

W hafcie robionym dwoma kolorami lub dwoma cieniami, jaśniejszy służy do haftu gobelinowego, a ciemniejszy do ściegów pojedyńczych i do gwiazdek.

N. 21—22. Haft gobelinowy węgierski, na kanwie.

Już w N. 17 z r. b., na ryc. 40, daliśmy próbkę ściegu gobelinowego, robionego na kanwie niedzielonej; ponieważ ten rodzaj roboty jest ładny i łatwy, i służyć może do różnych celów, więc dziś dajemy dwie nowe próbki.

N. 21. Próbka ściegu gobelinowego w zęby i przedłużone kwadraty.

W tej próbce ściegi gobelinowe zajmują zawsze 4 nitki kanwy na wysokość, i są oddzielane od ściegów następnych jedną nitką na szerz. W rzędach idących skośnie w górę, następne nitki zaczynają się o dwie nitki wyżej a w rzędach stępujących na dół o dwie nitki niżej. Do roboty służy filozela nierozdzielana albo pela i pięcio-włókienkowe nitki srebrne. Figury odznaczone są kolorem czarnym i srebrem, a zapełniane czterema cieniami różowemi i niebieskiemi.

N. 22. Próbka ściegu gobelinowego w rzucik.

W tej próbce ściegi gobelinowe nie są równej długości, tylko zajmują po 2 i po 4 nitki na wysokość w ten sposób iż tworzą małe kwadraciki. W tle i większych figurach najlepiej robić kwadraciki rzędami skośnemi, z góry na dół, a w rzucikach prosto w górę i na dół. Na modelu robionym jedwabiem kordonkowym, dwoma nitkami kwiatki były różowe do cieniu z czubkami złoto-żółtemi a kielichem i łodyżką zieloną, tło było srebrno-popielatego koloru. W miejsce kordonku można robić włóczką, w dowolnie dobranych kolorach.



N. 9. Koronka robiona ściegiem gipiurowym, do stoliczka ryc. 8, która robiona na tkaninie w owiesek, służy do ręczników i t. p. Zobaczyć ryc. 35 w N. 21.

N. 10. Zmniejszony model szlaku z przyłączonym narożnikiem. Deseń narożnika na fig. 88.



N. 3. Czepeczek gazowy do negliżowego ubrania.

N. 4. Czepeczek negliżowy z alzacką kokardą.

N. 5. Żabot krepowy.



N. 7. Poduszka z aplikacyą z pluszu.

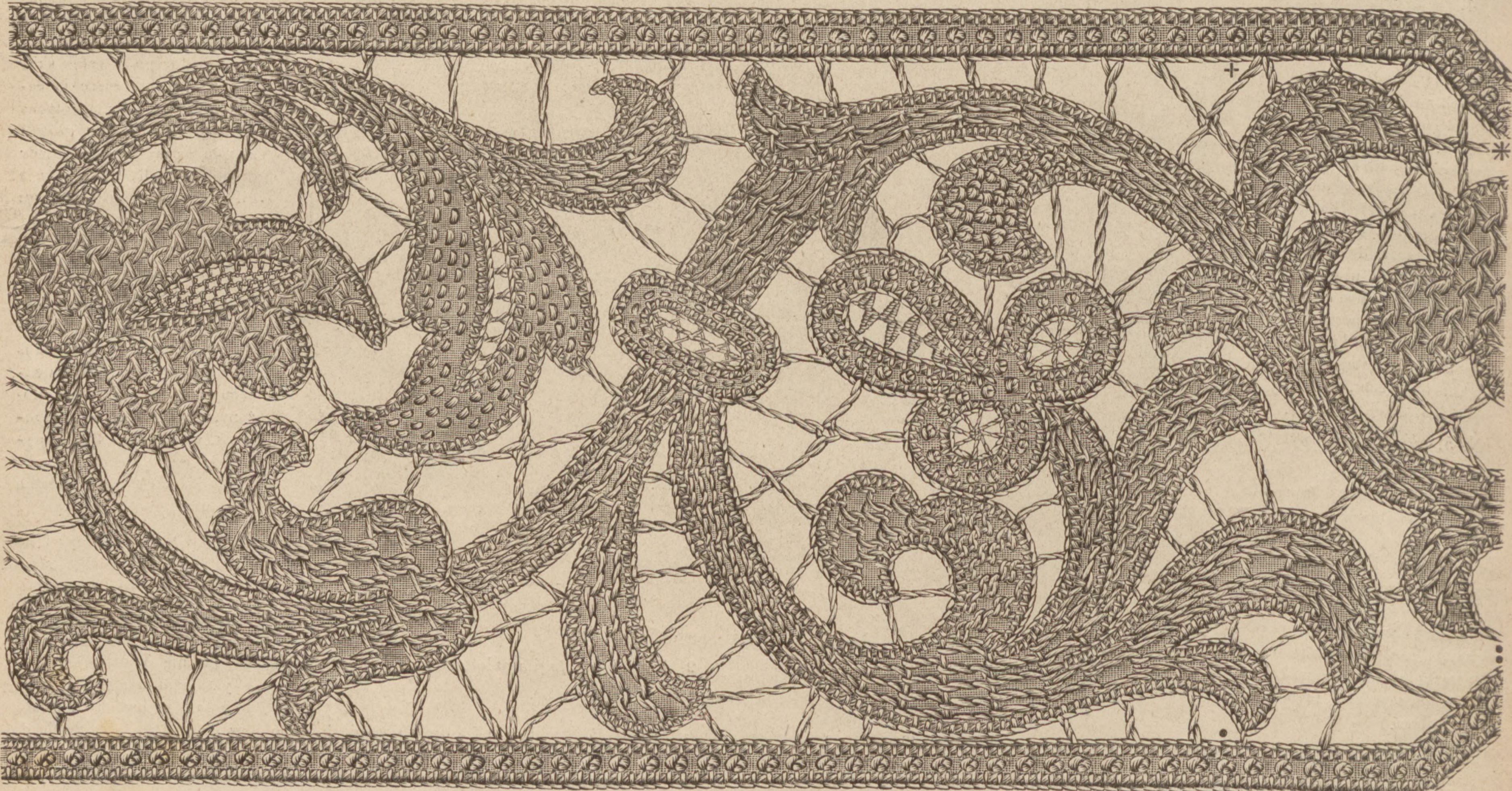


N. 6. Żabot chusteczkowy gazowy.

N. 27—28. Ubrania dla małych panienek.

N. 27. Sukienka ze stanikiem paletocikowym.

Pod otwarte przody stanika dany jest żabot bluzkowy, a krótsze plecy dopełnia draperya z brycika prostego trzymającego 48 cent. w kwadrat. Spódniczkę fałdowaną, wszytą w pasek, przyszywa się do podszewki stanika o 8 cent. poniżej wcięcia w pasie, i zdobi z przodu draperyą szalową 30 cent. sze-



N. 11. Deseń szlaku do ryc. 8. Haft gipiurowy; próbki ściegów na ryc. 35, 39 i 40 w 21. Zobaczyć narożnik na ryc. 10, desenie na dodatku do N. 18 i 19. Fig. 87 i 88.

roką, ze spuszczonym z boku końcem 50 cent. długim a 20 szerokim. Na modelu spódniczka i stanik z boku zapinany, odrobione były z zielonej wełnianej etaminy przerabianej nitką niebieską i żółtą, a żabot, kołnierzyk, mankiety i ranwersy przy bocznych brzegach baskiny przodów, dane były z mory ciemno lila.

N. 28. Sukienka z kaftaniczkiem koronkowym.

Przód stanika zdobią podług formy dopasowane kaftaniczkowe przody z koronki; epoletki z koronki nadmarszczonej, u dołu spódniczka oszyta gładko, koronką odwróconą w górę. Model odrobiony z materyału wełnianego koloru bordo, zdobiły mankiety, kołnierzyk i szarfa aksamitna takiegoż koloru.

N. 29. Suknia z kaftaniczkowym stanikiem.

Na zapinanych z przodu, gładkich, podszewkowych przodach stanika, ułożony jest oryginalny żabot z płótna bośniackiego, którego kawałek 80 cent. długi, przymarszcza się z prawego brzegu do 40 cent., przyszywa się na podszewce, a brzeg lewy przyfałdowany podług ryc. 29 obszywa się listewką i przypina na haftki do drugiego przodu. Dolny brzeg żabotu zakończa pasek fałdowany, aksamitny, 6 cent. szeroki. Kaftaniczkowe przody wywinięte na ranwersy w górze 12 cent. szerokie, mają dwie dziurki objęte aksamitem, a do żabotu przyszyte są dwa duże, metalowe guziki, służące do zapięcia. Krótki, 6 cent. wysoki kołnierzyk i mankiety węzłem złączone, są z aksamitu.

N. 31. Wachlarz spacerowy.

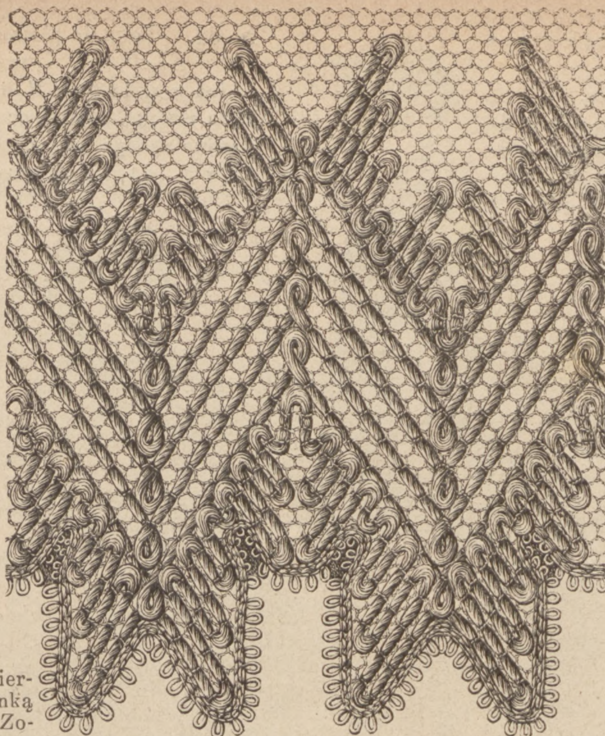
Złotem malowane jaskółki zdobią nietylko pokrycie z czerwono-bronzowego atłasu lecz i oprawę wachlarza, z politurowanego, ciemno-bronzowego drzewa. Sznury i kwasty jedwabne.

N. 32. Ubranie spacerowe z długim płaszczykiem. Wymiar kroju na ryc. 23.

Model odrobiony był z przezroczystej etaminy, przez którą przebijała jedwabna podszewka, koloru vieil-or. Do ozdobienia płaszczyka służyła w środku na dwie strony zeszyta, koronka 11 cent. szeroka i pasmanterya. Łatwy model kroju, dajemy na ryc. 23. Część pelerynowa *b* przyfałdowana w górze do 14 cent. zachodzi gwiazdką do gwiazdki na część przednią *a*, krajaną razem z niezeszytą częścią tylną. Od krzyżyka do dwukropka, ze-



N. 12. Fartuszek z napierśnikiem ozdobiony koronką wywodzoną na tiulu. Zobaczyć także ryc. 13 i 14.



N. 13. Koronka wywodzona na tiulu, do ryc. 12.



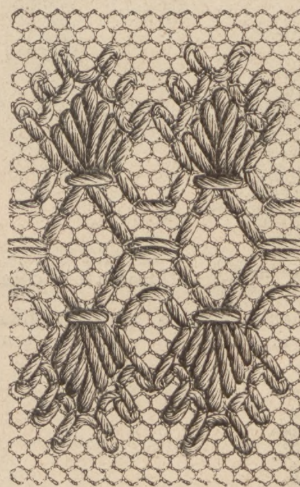
N. 15. Mantyla z kapturkiem. Przód na ryc. 30; model kroju na ryc. 25.



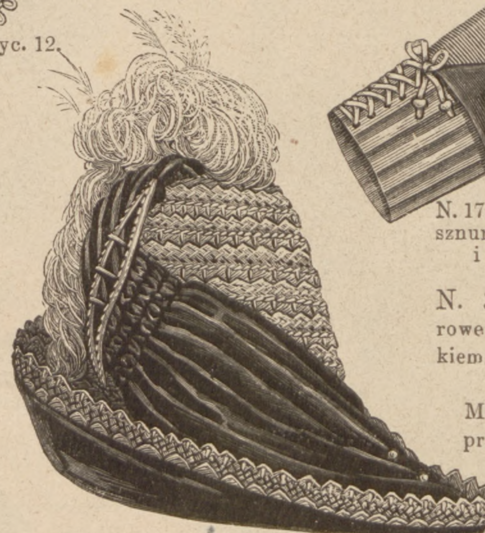
N. 16. Rękaw z gładkim mankietem, do sukni ryc. 33 i 20 w N. 21 Tyg. mód.



N. 18. Kapelusz okrągły z prostem rondem.



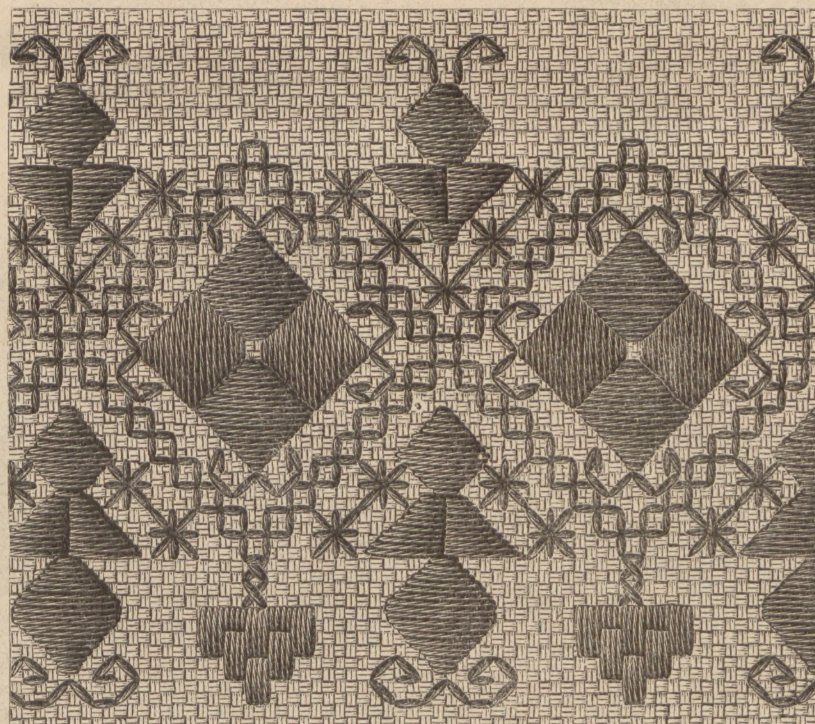
N. 14. Wstawka do ryc. 12, wywodzona na tiulu.



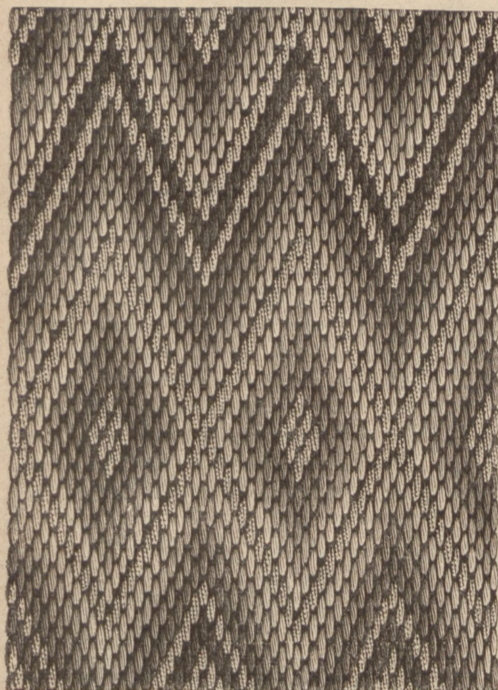
N. 19. Kapelusz z wysoką główką.



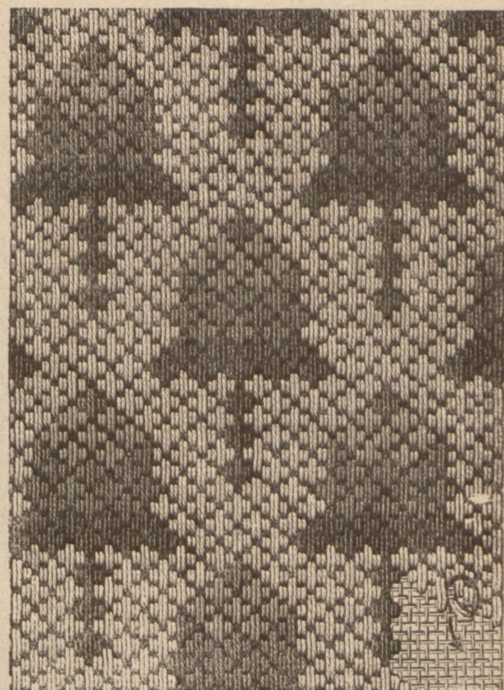
N. 17. Rękaw z mankietem sznurowanym do ryc. 33 i ryc. 20 w N. 21.



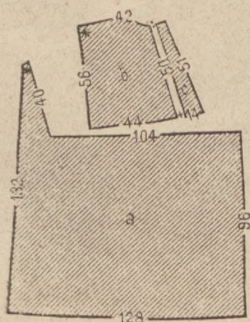
N. 20. Szlak do ozdoby sukien, fartuszków. i t. p. Haft płaski gobelinowy i sciegiem pojedynczym.



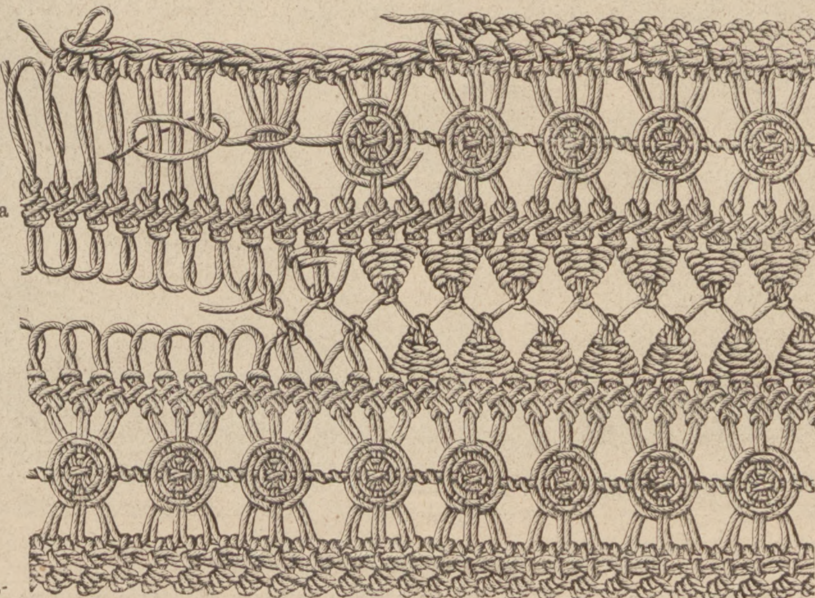
N. 21. Haft węgierski gobelinowy, robota na kanwie.



N. 22. Deseń w rzucik do roboty gobelinowej węgierskiej na kanwie.



N. 23 Model kroju i miary, do płaszczyka ryc. 32.



N. 24. Wstawka do poduszek, fartuszków i t. p. robiona na widełkach.



N. 25. Model kroju mantyli, ryc. 15 i 30

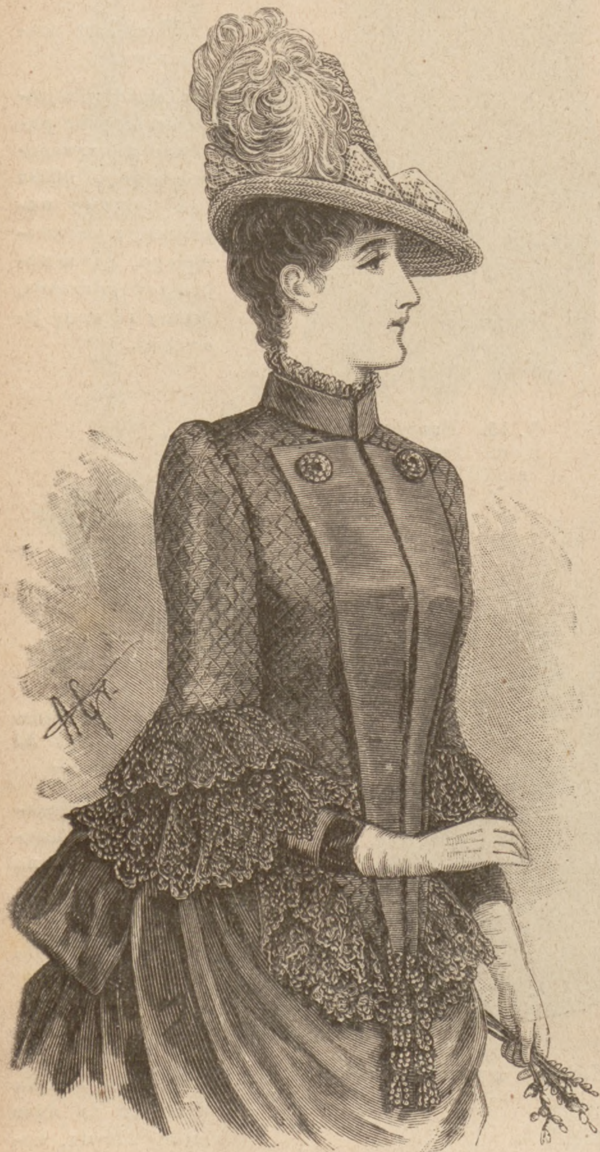


N. 26. Jeden listek do koronki gipiurowej, szydełkowej ryc. 10 w N. 21.

szywa się peleryną z plecami c. Ozdobienie płaszczyka koronką i kokardami ze wstążki wskazuje ryc. 32.

N. 33 i ryc. 20 w N. 21. Suknia z długą draperyą.

Ryc. 33 i 20 w N. 21, przedstawia z przodu i z tyłu ładną suknię do ubrania domowego, odrobioną z wełnianego materyału i ozdobioną szlakami, dodanemi w sztuce, i aksamitem tego co tło koloru. W długiej i szerokiej prostej draperyi z przodu, wycina się w górze z jednej strony, kwadrat 70 cent. długi a 80 szeroki, a część dolną wystającą podnosi się w górę, fałduje i przyszywa w ten sposób, ażeby szlak naszyty wzdłuż na spódnicy, był przez otwór widoczny, jak to wskazuje ryc. 33. Draperyę tylną stanowi bryt prosty, 200 cent. szeroki, którego brzeg górny i brzeg boczny z lewej strony, fałduje się i wszywa w pasek. Dopełnienie draperyi z boków, stanowią pasy aksamitne 24 cent. szerokie. Przy staniku z baskiną, dodaje się w krajaniu przodów, potrzebną na fałdy ilość materyału; do pleców fałdy na 6 cent. od dołu puszczone luźno dodaje się oddzielnie. Rękawy odpowiednie dajemy na ryc. 16 i 17.



N. 30. Ubranie z mantylą. Zobaczyć plecy na ryc. 15, model kroju na ryc. 25.



N. 27.—28. Ubrania dla dziewczynek.

N. 27. Sukienka z kaftaniczkowym stanikiem. N. 28. Sukienka z koronkowym kaftaniczkiem.

N. 34. Teka do pisania. Haft złoty w dawnym guście. Narożnik deseniu w naturalnej wielkości na ryc. 45 w N. 21.

Już w r. 1885 w N. 14 Tygodnika na ryc. 7, 19 i 23 dawaliśmy wzór i opis haftu złotego, naśladującego starodawne hafty złote, któren odrabia się jedwabiem matowo złotego koloru i nitką złotą, na wypukłem podłożeniu bawełną. Na ryc. 45 w N. 21, damy narożnik deseniu do teki ryc. 34, na którym wskazujemy dokładnie w jaki sposób domięszane są ściegi złote pomiędzy haft jedwabny. Model teki tem wspanialej wygląda, że haft złoty pomięszany z haftem srebrnym robionym jedwabiem srebrno popielatego koloru i nitkami srebrnemi. Na modelu na pluszu karmazynowym odznaczony był deseń, a następnie plusz podłożony podszewkowym muślinem wszyty był w krosna; grube podłożenie bawełną daje się wzdłuż a haft robi poprzecznie, w środkach figur ze srebrem a resztę z nitką złotą podwójnie wziętą, którą przeszywa się haft, w równych, małych odstępach. Wąski, prosty szlaczek z brzegu wyszyty jest w kratkę nitką złotą, a tło pomiędzy nim i szlakiem szerokim, zapełniają ściegi pikowane robione z boków jedwabiem srebrnego, a w rogach złotego koloru. Kontury deseniu obwodzone są cienkim złotym sznureczkiem, którym wyszyty także łańcuszek po brzegach.

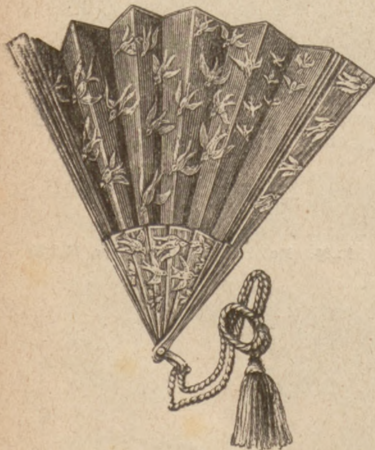


N. 29. Suknia z paletocikowym stanikiem.

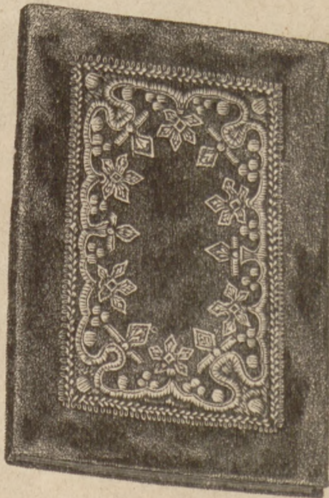


N. 32 i 33. Ubranie spacerowe i domowe.

N. 32. Ubranie z długim płaszczykiem. N. 33. Suknia z długą draperyą. Zobaczyć plecy na ryc. 20, rękawy na ryc. 16 i 17.



N. 31. Wachlarz spacerowy.



N 34. Teka do pisania. Haft dawny złoty. Deseń na ryc. 45 w N. 21.